Numer 51. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 18 Grudnia 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Kalendarze „Figielki“ już wyczerpane.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnej go adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mog dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Żyd w wojsku.

Icek Scyzoryk, pomimo wyraźnych swych skłonności pokojowych, dostał się do wojska. Natychmiast po otrzymaniu karabinu obejrzał go starannie, a potem udał się do swego zwierzchnika i, pokazując otwór lufy, rzekł:

— Pan oficer będzie łaskaw zauważyć, że tu jest dżura...

— Nu tak, co z tego?

— To ja mówię z góry, żeby potem nie było na mnie, że to ja zepsuł!

Odważny Icek.

Pewnego razu wysłano Icka na zwiady. Gdy powrócił, oficer pyta go:

— No cóż? Jak tam? Artylerja przejść może?

— Dlaczego nie? Może!

— Nu, a kawalerja?

— Kawalerja?... Tyleż może!

— Nu, tak piechota tembardziej?

— Pan oficer daruje, ale piechota to już wcale nie może przejść. Pan oficer wi? Tam są trzy takie wielkie psy!...

Przyjemność.

— Ach mężusiu, ja to też nie mam żadnej przyjemności.

— Jakto, byłaś niedawno na koncercie, na balu, w teatrze!

— Tak, ale z tobą.

Manko.

Kasjer jest smutny.

— Ma pan jakie strapienie?

— Jeszcze jakie. Kontroler znalazł w mej kasie poważne manko.

— I zrobił doniesienie?

— Poco doniesienie? Musiałem się z nim podzielić?

Słuszne zapytanie.

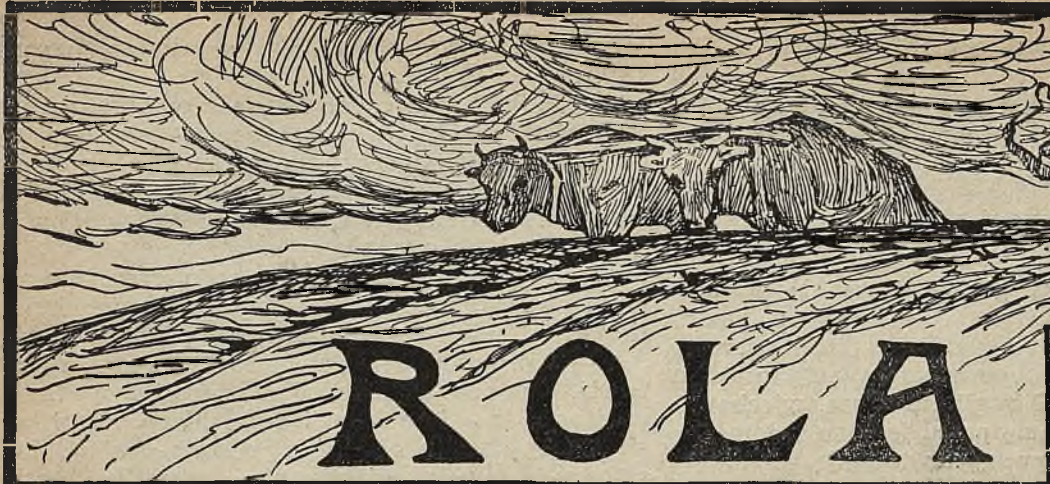
W Ameryce istnieją nowobogaccy, czyli tacy, którzy nagle wzbogacili się. Jeden z nich, zbogacony na bydle czy mydle, puścił się z żoną i dziećmi w podróż do Paryża. Zachwycony wspaniałym ogrodem zoologicznym, zwrócił się do dyrektora z propozycją następującą:

— Chciałbym kupić ten ogród dla mojej rodziny.

Na co dyrektor:

— A czy nie sprzedałby mi pan rodziny dla ogrodu?

Numer 51. X. Rok Kraków, dnia 18 Grudnia 9217



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Okres wyborczy.

Niejeden, przeczytawszy tytuł niniejszego artykuliku i do tego wstępnego, pomyśli sobie, że i »Rola« ma zamiar robić politykę. Boć od chwili rozpisania wyborów, to jest od poniedziałku dnia 5 grudnia b. r. wstąpiliśmy w okres wyborczy, który, nie daj Boże, więcej nam szkody, aniżeli pożytku przyniesie. I przez przeciąg dwóch długich miesięcy wielu ludzi oderwie się od codziennej pracy i będzie robiło wybory. Nie byłoby też nic tak bardzo dziwnego, gdyby gazetka, mająca tak licznych Czytelników i docierająca do najdalszych zakątków naszej Ojczyzny, zechciała również robić wybory, a więc stać się częściowo pismem politycznem. Zdziwienie jednak byłoby słuszne, gdyż „Rola", głosząca przez cały czas swego istnienia, że jest pismem niepolitycznem, nagle niem się stała i zaczęła to lub owo stronnictwo popierać, a więc zmieniła swe zasady i przemieniła się na pismo polityczne.

Otóż z góry musimy się zastrzec, że takiego zamiaru nie mamy. Nie znaczy to jednak, aby nas wybory, jako takie nie interesowały. Owszem, interesują nas i to bardzo. A interesują dlatego, gdyż pragnęlibyśmy bardzo, aby do nowego sejmu weszli sami ludzie uczciwi, mądrzy, pracowici i nie mający żadnych osobistych celów na myśli, jak tylko jedynie i wyłącznie dobro całego społeczeństwa, bez względu na stany i zawody. Boć trzeba wiedzieć, że nie będzie jeszcze dobra w kraju, jeżeli tylko jednym będzie dobrze, a inni będą biedę klepać, nie będzie jeszcze dobra, jeżeli jeden będzie opływał w dostatki, a drugi będzie biedę klepał. Lecz dobrze będzie tylko wówczas, jeżeli tak włościanin, jak i mieszczanin, tak rolnik, jak i rzemieślnik, tak duchowny, jak i świecki, tak wojskowy, jak i cywilny, słowem, jeżeli wszyscy, ale to wszyscy będą się czuli ze swego losu zadowoleni.

Wprawdzie powiada przysłowie, że jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził, to też i gdyby nawet posłami byli aniołowie z nieba, nie potrafiliby tak działać, aby wszyscy ludzie w kraju byli bez wyjątku zadowoleni. A jeżeli od aniołów nie możnaby tego wymagać, to cóż dopiero od ludzi! Ale nawet od ludzi możemy się przecież domagać tego, aby to nawet mimowolne pokrzywdzenie jednych kosztem drugich było jak najmniejsze. A dokonać tego posłowie mogą, jeżeli tylko będą mądrzy i uczciwi i nie będą się ze sobą kłócić, ale myśleć o dobru całego społeczeństwa.

Jeżeli więc tej zgody dla dobra publicznego żądamy od naszych posłów, to tę zgodę powinniśmy przedewszystkiem wszczepić w serca nasze, powinniśmy dać dobry przykład sami z siebie. I właśnie teraz w tym okresie wyborczym nadarza się znakomita sposobność. Jak wiadomo, w okresie przedwyborczym zaczyna się w umysłach ludzkich ruch żywszy, krew gra, ścierają się zdania za i przeciw. I niema nic w tem złego. Owszem! Wymiana zdań w każdym wypadku jest korzystna, więc i teraz może ona przynieść wiele dobrego, a przyniesie tylko wówczas, jeżeli nie przemieni się w pieniactwo, jeżeli nie czepi się czci ludzkiej, jeżeli będzie prowadzona spokojnie i rzeczowo.

Jeżeli więc, Kochani Czytelnicy, zgromadzicie się w okresie tym na narady, jeżeli posłyszycie zdania, które będą sprzeczne z waszymi przekonaniami, to owszem zabierajcie głos i starajcie się zjednać przeciwnika dla swoich poglądów. Jeżeli wy będziecie mieć słuszność, a traficie po przeciwnej stronie na człowieka uczciwego, to on zapewne przyklaśnie waszemu twierdzeniu i uzna je za swoje. A może być, że pod wpływem jego rzeczowych argumentów wy swoje zdanie zmienicie! I to i to możliwe, ale i to możliwe, że żaden żadnego przekonać nie potrafi. I czyż dlatego, że dwóch was jest, którzy macie przeciwne zdania, macie się stać wrogami? A łatwo nimi się stać, jeżeli zamiast rzeczowej polemiki zaczniecie sobie do oczu skakać i wzajem na siebie oszczerstwami miotać!

Oto są nasze skromne uwagi na czas okresu wyborczego, a wierzymy, że każdy człowiek mądry i uczciwy przyzna nam rację.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

XII.

Jechaliśmy niedługo, gdyż, jakem się później dowiedział, obozowisko całej brygady jazdy znajdowało się stąd niedaleko, w dużej wsi, rozrzuconej szeroko, dobrze zabudowanej i mającej na górze piękny zamek. Kawalkata nasza, wjechawszy do obozu, zatrzymała się przed jednym z domów, a porucznik Wolski, zbliżywszy się do mnie, rzekł:

— Muszę zameldować o waćpanu mojemu rotmistrzowi, panu Schneidemu. Czekaj-że tu waćpan. Ja zlezę z konia i pójdę do kwatery rotmistrza.

— Panie poruczniku — odrzekłem na to — a nie mógłbym ja się zobaczyć ze Skalskim?

— Czemu nie? Ale nie teraz. Muszę wprzód o waćpanu zameldować rotmistrzowi. A przytem Skalski jest teraz w sztabie pułkowym, bo go przed paru dniami zrobiono adjutantem pułkowym, że to pięknie pisze i umie doskonale paplać po francusku.

— Toć i ją umiem — zauważyłem.

— Tem lepiej, będziesz waćpan pożądany, bo u nas tu w pułku niewielu jest takich, coby to potrafili, a już o pisaniu to niema co mówić. Jużcić każdy z nas oficerów umie nababrać list, ale ochotników do tego jest niewielu. Czekaj-że tu na mnie.

Zszedł z konia, oddał go ordynansowi i, dzwoniąc szablą i ostrogami, wszedł do owego dużego domu, przed którym stanęliśmy. Rozglądałem się dokoła, siedząc z Grzesiem na bryczce, zziębnięty, przemoczony do nitki a głodny, jak pies ostatni, i przypatrywałem się bujnemu życiu obozowemu, które się przede mną w całej pełni rozwijało.

Siedziałem milczący, zapatrzony w to nowe dla mnie widowisko, wewnętrznie zadowolony, żem nakoniec dostał się do owych upragnionych legjonów polskich, a Grześ wdał się już w rozmowę z pilnującym nas podoficerem Kapustą.

— Panie podoficyer! — gadał wszyćko tu jest u was galanto i ja też z moim paniczem do ułanów zara wstąpię, ale widzi mi się, że przódy, nim to się stanie, to my z paniczem zamrzewa, nikiej psy...

— A to dlaczego, rekrucie? — spytał Kapusta, stary wyga, z wąsami wielkimi, jak wiechcie, i żółtymi, jak konopie.

— Latego, co nam się okrutnie jeść chce. Już dwa razy ściągnąłem pas na brzuchu a i tak wisi na mnie nikiej cycele na Żydzie.

— Jeść ci się chce?

— Niby tak.

— I ty, durniu, chcesz do ułanów wstąpić?

— A chcę, chociem dureń...

— No, to wiedz, że ułan powinien i trzy dni nie jeść, jak potrzeba, a mieć minę zawsze dzielną. A ty co? Łeb masz kudłaty, minę kapcana i powiadasz, że ci się jeść chce. Takim kpom, babom i gołowąsom w piechocie służyć, a nie w ułanach. Rozumiesz, bałwanie, ośla głowo?

— Rozumiem, panie podoficyer. Co nie mam rozumieć? Przecie pan po ludzku, nie po świabsku gada, ale zawżdy wolałbym widzieć kawał kiełbasy z czosnkiem i też krajankę chleba, jak te piękne i, ani słowa, mądre gadanie pana podoficyera...

Kapusta spojrzał groźnie na Grzesia, poruszył swymi płowymi wąsiskami i rzekł:

— Widzę, że z ciebie będzie z czasem tęgi ułan, bo umiesz poznać się na mądrem słowie, choć trzeba cię będzie wziąć dobrze za łeb i podogonia na skórę twoją nie żałować... Ale to się zrobi, to się zrobi. Nie takich ja smyków na ludzi wyprowadziłem, to i ciebie wyprowadzę...

— Pięknie dziękuję panu podoficyerowi i pewnikiem to tak będzie, że ze mnie ostanie ułan jak się patrzy, jeżeli wprzódy nie zamrę z głodu...

— No! — odpowiedział na to Kapusta — nikt nie powie, żem rodakowi, choć rekrutowi i cywilusowi, pożałował kapki gorzałki i kęsa chleba. Naści, napij się trochę, choć to nie nasza polska gorzałka, ale ich szwabskie kwaśne wińsko, ale trudno. Na bezrybiu i rak ryba.

To rzekłszy, odpiął od pasa manierkę i podał ją Grzesiowi, mówiąc:

— Tylko niech cię Pan Bóg broni, żebyś miał wypić wszystko.

— Bo co?

— Co? bobyś dostał podogoniem takie basy, żebyś ruski miesiąc popamiętał.

— Ha! — odparł na to Grześ — wolę już basy, jak żywota postradać. Bo czuję, że dech ze mnie całkiem ujdzie, jeśli wszyćkiego tego wina nie wypiję.

Kapusta spojrzał groźnie na Grzesia. Przez chwilę miał taką minę, jakby chciał odebrać manierkę, ale widać rozmyślił się, bo machnął ręką i mruknął:

— A niech cię tam! Pij, rekrucie!

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać Grzesiowi. Przechylił manierkę i wypił ją do dna, poczem dostał od Kapusty kawałek białego chleba, którym chciał się ze mną podzielić, ale odmówiłem, uśmiechnąwszy się w duszy z całej tej sceny.

Tymczasem zjawił się niecierpliwie przeze mnie oczekiwany porucznik Wolski i rzekł:

— Rotmistrz kazał waćpana zaprowadzić do pułkownika. Chodźmy tedy. Kapusta! — zwrócił się do podoficera — dopilnujesz koni tego pana i każesz im dać obroku.

Wyszedłem z bryczki i ruszyłem za Wolskim, ku owemu zamkowi na skale, gdzie mieścił się sztab brygady. Zmęczony i głodny z trudnością wdrapałem się na dość stromą górę i tutaj w zamku, przeszedłszy dużą sień, pełną kręcących się oficerów i ordynansów, wstąpiliśmy do niewielkiego pokoju, w którym pod oknem, przy stole, siedział samotnie jakiś oficer ułański, tyłem do nas zwrócony i pilnie zajęty przeglądaniem mnóstwa papierów, leżących przed nim.

— Skalski — zawołał Wolski — obaczno, kogo ci przyprowadziłem.

Tadzik, gdyż to on był, odwrócił się leniwie i z widoczną niechęcią, i spojrzał na nas niedbale. Opalony był, prawie brązowy, zawiędły jakiś i zmęczony. Urosły mu wąsy, do góry z fantazją zakręcone, a piękny mundur ułański, granatowy, z żółtemi rabatami i amarantowym kołnierzem, ozdobiony adjutanckiemi srebrnemi akselbantami, przypadał mu do twarzy.

Przez chwilę patrzał na mnie i widocznie odrazu nie mógł mię poznać, do czego zapewne wiele się przyczynił mój wygląd niepoczesny, moje suknie zniszczone, mokre i zabryzgane błotem. Ale nagle zerwał się na równe nogi, cisnął pióro, które trzymał w dłoni, i roztwierając szeroko ramiona, zawołał:

— Józik! Jak Pana Boga kocham, Józik! Więc posłuchałeś mojej rady? Więc jesteś? Jak się masz? Chodź-że, niech cię uściskam!

Rzuciłem mu się w objęcia.

— Józik! Józik! — powtarzał, ściskając mię i całując.

Uradowany był niezmiernie, posadził mię na krześle obok siebie, nacieszyć się mną nie mógł, a porucznik Wolski rzekł:

— Rotmistrz Schneide kazał pana Rudnickiego zameldować pułkownikowi. To już do ciebie, Tadziku, należy. Zrób-że to, a ja wracam do szwadronu. Nie chcę panom przeszkadzać. Pójdę spać, bom zmęczony. Całą noc tłukłem się po deszczu.

Skłonił się nam szarmancko, dzwoniąc ostrogami, i wyszedł.

— Oczywista rzecz, że zaraz zamelduję o tobie pułkownikowi — mówił Tadzik — bo przecie wstępujesz do naszego pułku?

— Po to przyjechałem.

— Ślicznie robisz, bo, do kopy djabłów, wstyd jest gnić w Warszawie, kiedy my tu walczymy. Teraz jest wojna, lada chwila przyjdzie do bitwy i zadamy bobu Prusakom. Wiesz co? ty jesteś uczony bardzo, piszesz pięknie, znasz język francuski, bez którego tu ruszyć się nie można, poradzę więc pułkownikowi, żeby cię zrobił adjutantem.

— O! zaraz adjutantem. Wszak ty nim jesteś?

— Jestem, ale mi się tu przykrzy, wolałbym być w szwadronie. Roboty, pisaniny masa, kością mi to w gardle stoi. Psia służba adjutancka! Ani dnia, ani godziny spokojnej.

— Więc mnie chcesz ją oddać? Dziękuję! — zaśmiałem się.

— Ano, jakże chcesz? Przecie oficerem w szwadronie cię nie zrobią zaraz, bo i służby nie znasz i oficerów mamy za dużo nawet. Szeregowcem zaś trudno, żebyś został, bo to jeszcze cięższa od adjutatnckiej służba. Ale bój się Boga, coś mi strasznie marnie wyglądasz!

— Ba, żebyś ty przeszedł przez to, przez co ja dziś w nocy przeszedłem, jeszczebyś marniej wyglądał.

— No, cóż to takiego?

— Nic więcej, tylko chcieli mię powiesić.

— Kto?

— Rotmistrz dragonów bawarskich, Miller.

— Co ty mówisz? Miller? ten moczygęba, kostera, wydmikufel, Szwab ostatni? Powiesić! Za co? Jakiem prawem?

Opowiedziałem mu tedy szczegółowo moje nocne przygody w oberży we wsi Berthalu. Słuchał pilnie, klął, zrywał się, a gdym doszedł do tego, że trzos z pieniędzmi, w którym było i jego, Tadzika, trzy tysiące talarów zabrał prawem kaduka Miller, Skalski aż podskoczył i zawołał cały czerwony od gniewu:

— Zabrał! zabrał! moje talary, trzy tysiące, mówisz?

— Tak, trzy tysiące, a moich przeszło dwa tysiące!

— A gałgan, a zbój, a rabuś przeklęty! Zaraz lecę do pułkownika! Z gardła podłemu przywłaścicielowi wydrę. Trzy tysiące talarów moich własnych, kiedy ja mam w kieszeni zaledwie dwa franki i strawą żołnierską żyję! Nie daruję tego! łeb rozetnę! zbiję na kwaśne jabłko!

Był w strasznem uniesieniu, biegał po pokoju, tupał nogami, ażem go musiał uspokajać.

Przygładził wzburzoną na głowie czuprynę, poprawił szabli i munduru i, mówiąc: „Czekaj tu na mnie“, roztworzył drzwi w głębi i znikł za niemi.

Zostałem sam. Zdala, z sieni i ze wsi dochodził mnie stłumiony gwar paru tysięcy ludzi i koni. Po nocy wietrznej i dżdżystej, niebo się wyjaśniło i ranek zrobił się słoneczny, wesoły, ciepły. Przez okno wpadał do pokoju, w którym siedziałem, nieco staroświeckim, ale pełnym pańskiego splendoru, o ścianach rzeźbionem drzewem wykładanych, suficie malowanym w jakieś sceny mitologiczne i suto złoconym, cały snop promieni słonecznych i mą zbiedzoną figurę, pokrytą mokremi sukniami, rozgrzewał mile. Byłem tak znużony, wyczerpany i głodny, że siedząc na wygodnem krześle z poręczami, czułem, jak mię sen morzy. Opędzałem mu się jak mogłem przez jakiś czas, wreszcie, sam nie wiem kiedy, zasnąłem.

Obudził mię Tadzik uderzeniem w ramię i słowami:

— Wstawaj! Pułkownik cię wzywa.

— Idę!

— Mówiłem mu o tobie. Zostaniesz zapewne adjutantem pułkowym. Wściekły jest na Niemca.

— Na jakiego Niemca? — spytałem zmroczony jeszcze snem.

— Jakto na jakiego Niemca? Na Millera!

— A! a cóż pieniądze?

— Posłał ordynansa do ich pułkownika, Vollebena, prosząc go, żeby przyszedł, i całą sprawę mu opowie.

— Ba! — rzekłem, oporządzając się trochę — kruk krukowi oka nie wykole.

— No!... wtedy Miller będzie miał ze mną do czynienia! — zawołał Skalski, ściskając pięści. — Zmasakruję go, porąbię szelmę, z gardzieli mu wydrę moją krwawicę!

— Lepiejby było rzecz pokojowo załatwić — zauważyłem.

— At gadasz! ty nie wiesz, co to za łotry są ci dragoni bawarscy. Banda opryszków i rabusiów. Ciągle mamy z nimi zatargi. Ale chodźmy do pułkownika. Nie lubi spóźniających się.

Otworzył drzwi i wpuścił mię przodem. Przeszliśmy jeden całkiem pusty pokój, a w drugim stanąłem przed pułkownikiem Konopką, którego znałem z imienia, bo jego sława doszła nawet do Warszawy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nie wątpić!

Franciszkowi Pociesze tych parę strof otuchy z powodu zgonu Jego kochanej żony.

Kiedy w nas biją nieszczęść gromy
I sercem targa srogi żal,
Patrzmy w Chrystusa znak widomy,
Z którego płyną łask ogromy
Wskazując nam zbawienną dal.

Ten świat, choć przetrwa lat miljony,
Osiągnie bytu swego kres,
Przyjdą powoli ludów zgony —
Powstanie ten, kto wyzwolony
Z grzechów przez tego Stwórcę jest!

Powstanie kiedyś nowe życie
Nad błękitami! zniknie ból —
I jako kwiat w cudnym rozkwicie,
Żyć będziem wszyscy w tęcz zachwycie,
Bo śród nas będzie Chrystus - Król!

Robert Rydz.

Śpismichałowa dolina.

(Legenda.)

Popod Szeroką Jaworzyńską w spiskich Tatrach, jest jedna piękna dolina, którą lud Śpismichałową zowie.

Drzewiej, gdy jeszcze całe hale od Orawic po Jaworzynę do Polski należały, gdy nad niemi orły zataczały swe królewskie loty a przez Polski Grzebień do Liptowa zbójnicy perciami chadzali, w tych czasach staroświeckich, które dzisiaj z legendy jeno znamy, kiedy to na Jastrzębiej Turni świecił nocami zaklęty rubin, gdy lasy pełne były dzikiego zwierza i różnego licha, gdy węże, mnichy i duchy zazdrośnie strzegły odwiecznych tajemnic lodowych, mrocznych pieczar, a w jeziorach tatrzańskich zdradziecko czatowały upiorne strzygi, dziwożony, topielice, w tych czasach już wypędzał Michałek z Jurgowa owieczki swoje na upłaz popod Szeroką Jaworzyńską.

Nie było dla niego większej radości, jak wtedy, gdy na wiosnę wyganiał w hale swój dzwoniący kierdelik, hań, ka ten siwy Murań, ka te bystre siklawy białczańskie, ka te stare dumające jaworzyńskie bory, pamiętające „zaśniętych" rycerzy królewskich. Luto mu tylko było, kiedy na pożegnanie całował spracowane ręce swej dobrej matusi, którą bardzo kochał. Ją jedną tylko miał na świecie, oprócz owiec i tych górskich hal.

Luto mu jej było, gdy płacząc, żegnała się z nim, ale przy niej nie został, lecz gnał swą trzodę pod Gładką Jaworzyńską.

— Michałku, a w niedzielę przychodź do kościoła! — leciało jeszcze za nim wołanie matki.

Jakoż w każdą niedzielę przychodził, a raczej przylatywał do wsi rześki i wesoły, jakby tam w górach, ka w zbójnickich komorach odnalazł jakie zaklęte skarby. Harny się przytem wydawał ludziom i urodziwy, że się mu dosyć napatrzeć nie mogli, aż za nim spojrzenia dziewcząt leciały, gdy szedł przez wieś od siwych gór. Ale on ta na to dużo nie zważał i ani może tego nawet nie widział.

Po mszy z matusią w domu długo rozprawiał a wieczorem był już przy swoich owieczkach.

Ale gdybyście go widzieli pasącego kierdel, tobyście go ani nie poznali, taki był niepodobny do tamtego we wsi. Kiedy słonko chyliło się poza długą grań Wołoszyna, wtedy on siadał na skale i pozierał w stronę wierchów, coraz czerwieniejących, jakby na nie odblask watry padał, jakby je kto obił czerwieńcami.

Cisza ta kładła się po turniach jak w samotnym kościele i spokój taki spływał z krzesanic ku dolinie, że bał się go zamącić śpiewem lub graniem fujarki. Ani wiatr nie poruszył konarów limby, nie zaszuścił wśród kosówki, od której szły żywiczne wonie, tylko po upłazkach dzwoniły w dali cicho dzwonki owiec, tylko małe lekkuchne, ognisto-złote mgiełki czepiały się wyniosłych szczytów, by rozwiać się i stopić w bezmiarze pogodnych niebios.

W takich chwilach Michałek dumał o czemś głęboko.

O czem dumał?

Zapewne o tem słonku, co właśnie schowało się za poszarpaną grań, dumał o tym orle, co chwytał w przestworzach na swoje skrzydła ostatnie blaski zachodu i o tych dumał zbójnikach, którzy z potokami w doliny, w daleki świat wypadali, o których mu matusia nieraz prawiła. Ani nie dostrzegał, że na podniebnych szczytach zagasła już wieczorna łuna, że po ich stokach wspinają się w górę cienie, wyległe z jakichś głębokich jezior, z jaskiń i żlebów, nie dostrzegał, że tam na firmamencie niebios zabłysły już dziesiątki gwiazd. Rzewnie mu było i błogo zarazem. Mlecznemi drogami, przez górskie szlaki i zawrotne perci zbiegała do jego serca jakaś rzewna zaduma. Budziły go z niej dopiero owce, które otoczyły go zbitą gromadą. Wtedy zaganiał je do pobliskiego szałasu w dolinie, zapalał watrę i oddawał się bacowskim zajęciom.

Mijały tak tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, Michałek, każdej niedzieli odwiedzał dobrą matusię.

Aliści pewnej niedzieli nie przyszedł do Jurgowa.

Zaniepokojona matka prosiła Jędrka i Józka, gazdowskich synów, ażeby szli zajrzeć na jej Michałka, ale im pilniej było do żydowskiej karczmy na muzykę i „palenkę". Zarzuciła więc chustkę na głowę, kierpce na nogi, do szmatki wzięła osełkę masła i kęs chleba i wyruszyła w drogę.

Szła długo nad brzegami szumiącej Białki ku Tatrom, gdzie jej syn pasał owce. Ciężko jej było, ale nie myślała o trudach. Byle go ujrzeć, byle dowiedzieć się czemu nie przyszedł.

— Zaspał czy co? — myślało zafrasowane matczysko, z niepokojem spoglądając na słonko, wędrujące po uciążliwym dniu na spoczynek po modrem niebie, na które o tej porze Michałek także zwykł był spoglądać.

Właśnie schowało się ono za kędzierzawy grzebień Wołoszyna, kiedy stanęła w dolince, w której jej syn bacował. Serce tak silnie jej biło, że przystanęła, by odpocząć. Kilkadziesiąt kroków przed nią stał pusty szałas na polance okolonej lasem wspinającym się w górę, het! aż ku upłazkom. Wokół wznosiły się wielkie wierchy, gorejące właśnie ognistą purpurą pod spojrzeniami zachodzącego słońca. Wśród ciszy rozległ się głos matki: — Michałku, kaś ty!?...

Nasłuchiwała sporą chwilę, czy nie dostanie od syna odpowiedzi, ale tylko wierchy niosły tłukące się wśród skał echo z zapytaniem o Michałka: — kaś ty? Ostatnie jego odgłosy odezwały się kędyś tam na Polskim Grzebieniu i zamarły, skamieniały na bledniejących czołach gór, na których gasła wieczorna łuna.

Niepokój straszny ogarnął serce matki. Bała się powtórnie zawołać na syna, by znowu nie usłyszeć okropnego echa, miast odpowiedzi od Michałka. Oglądnęła się wokół bojaźliwie i oto ujrzała opodal niej leżącego syna. Leżał w świątecznym stroju na posłaniu z mchów a nad nim jawor roztaczał konary. W jednej chwili znalazła się przy jego boku. Zadyszana ale szczęśliwa gładziła go drżącą ręką po twarzy.

— Przecóżeś do wsi nie przyseł? — szepnęła cicho nad jego uchem.

— Wstań, dziecko, bo już wieczór... Śpis, Michałku, śpis?... Ale Michałek nie powstał; spał bowiem snem wiekuistym, zabity przez tych zbójników, o których mu nieraz matka opowiadała.

Dolina, w której się to działo zwie się Śpismichałową i żaden już Michałek z Jurgowa dzisiaj owieczek w niej nie pasie, ani z Szerokiej Jaworzyńskiej na Polski Grzebień nie poziera, chociaż niema tam już teraz zbójników ni dzikiego zwierza...

Marjan Gotkiewicz.

NASZE ZAMKI.



W dawnych czasach nie było tak spokojnie na świecie, jak jest dzisiaj. Obecnie przed złymi ludźmi strzeże nas prawo, nad naszym spokojem czuwają żandarmi, a dzięki ich obecności we wszystkich większych miejscowościach możemy spać spokojnie, nie obawiając się o nasze mienie. Wprawdzie jeszcze tu i ówdzie trafiają się kradzieże i rabunkowe napady, ale są one niczem wobec tego, co się dawniej działo. — Dawniej po lasach, pokrywających gęsto niemal całą Europę, grasowały bandy rozbójników, napadając nietylko na przejezdnych, ale czyniąc niejednokrotnie wyprawy na siedziby bogatych panów, niszcząc je i paląc, zaś ludność zamieszkującą je, kładąc trupem. A nietylko bandyci zagrażali siedzibom bogatych ludzi, ale często urządzali wyprawy zbójeckie sąsiedzi na swych sąsiadów. Aby się przed każdym takim najazdem obronić, budowali sobie bogaci ludzie zamki obronne, w których w każdym czasie czuli się bezpieczniejszymi. Zamki te broniły ich również w czasie najazdu nieprzyjacielskiego. Obecnie najazdów sąsiedzkich niema, gdyż istnieją surowe kary za wszelkie najście cudzego mienia, od zwykłych bandytów dobry pies obroni, to też niema potrzeby budować twierdz obronnych jakiemi były dawne zamki naszych panów. I dlatego też w obecnych czasach rzadko tylko spotyka się dawne zamki obronne, a i te, które jeszcze tu i ówdzie są, chylą się ku upadkowi. Natomiast w wielu okolicach można jeszcze spotkać ruiny tych wspaniałych budowli takie, jak to widzimy na naszym obrazku.

Zemsta rzeźbiarza.

Za dawnych czasów, gdy Polska znajdowała się jeszcze w całej potędze swej świetności, żył w Gdańsku pewien sławny mistrz rzeźby, imieniem Wit, którego prace podziwiano nadzwyczajnie, to też rzeźby jego sławne były na świat cały.

Podówczas mieszkał tam również i sławny mistrz pendzla, Marcin, do którego na naukę oddawali swych synów najznakomitsi obywatele.

Mistrz Marcin był już leciwy i z troską oglądał się na swe dzieło, pragnął gorąco przelać swą sztukę i umiejętność na jaki młodszy genjusz, a że miał córkę jedynaczkę, prześliczną, jak obrazek Rafaela, pragnął i ją godnemu siebie następcy powierzyć. Kochał swą jedynaczkę gorąco i pragnął jej szczęścia, nie chciał jej w wyborze krępować. Dziewczę było przecudnej urody, o złocistych włosach, i oczach, w których odbijało się niebo i przezierała duszyczka czysta o nieskalanej bieli, nie znającej, co to złość ludzka.

Właśnie jakoś w tym czasie zdarzyło się, że krewny mistrza Marcina przywiózł do Gdańska swego siostrzeńca, sierotę, by się kształcił w sztuce malarskiej. Chłopak był zdolny i rokował świetne nadzieje.

Minęło lat parę — mistrz Marcin przekonał się, że chłopak posiada niepospolity talent, a wkrótce spostrzegł ku swemu zdumieniu, że uczeń prześciga mistrza. Na nim więc oparł wszystkie swoje nadzieje.

Bywało, wieczorami cała rodzina zebrała się u stołu, a czasem i zaproszonych gości nie brakło, a bywał wśród nich i mistrz rzeźbiarz Wit. Nie brakło i innych młodych ludzi, którzy z przyjemnością i zachwytem wpatrywali się w postać cudnej dziewicy i z zazdrością myśleli, którego też ona wybierze. Z niejednej też piersi ulatywało westchnienie za niedościgłemi marzeniami, — wiedzieli, że mistrz nie odda swej jedynaczki, tylko swemu następcy, i już miał podobno upatrzonego, ale kto był tym szczęśliwcem, nikt nie wiedział.

Długo się to jednak nie utaiło. Przychylność i szacunek, jaki okazywał mistrz Marcin swemu byłemu uczniowi, zjednała mu ogólną niechęć zazdrosnych konkurentów. Największą jednak niechęć okazywał przyszłemu mistrzowi sztuki malarskiej rzeźbiarz Wit, któremu młody i piękny chłopiec, zyskawszy serce dziewczęcia, pokrzyżował plany i nadzieje. Pragnął i on oddawna pozyskać rękę dziewczyny, a że miał już — jak to mówią — pięty krzyżyk, nie dziw, że

serduszko dziewczęcia przylgnęło do pięknego młodzieńca, który stał się w dodatku ulubieńcem ojca.

Kochał i Stefan (takie było imię młodzieńca) piękną Zosię. Mistrz Marcin patrzał na miłość młodych z zadowoleniem, bo tego związku pragnął.

Zaufany w swej sławie i wielkości mistrz Wit pragnął jednak spróbować jeszcze szczęścia, mimo widocznej niechęci Zosi, i pewnego dnia, gdy gości nie było, oświadczył się i dostał odkosza. To go tak ubodło w jego dumie. że postanowił się zemścić na szczęśliwym rywalu.

Oddawna już była zapowiedziana w kraju wielka wystawa sztuki — i tak Stefan jak i mistrz Wit sposobili się na nią. Nad czem pracował mistrz Wit, tego nikomu nie mówił. Stefan natomiast pracował gorliwie nad obrazem Madonny, ale go nikomu nie pokazywał prócz swego mistrza Marcina. Madonna była prześliczna, o anielskich rysach, piastująca na ręku dzieciątko, którego podobizna była jeszcze nie ukończona. Całość jednak czyniła wrażenie, że to malował nie lada mistrz, znający wartość swej sztuki, i to, że otrzymać może pierwszą nagrodę było prawie pewne.

Już tyl o kilka dni dzieliło dzień wielkiej wystawy.

Jednego wieczora młody malarz, spędziwszy parę godzin w towarzystwie swej ukochanej, udał się do swej pracowni, pożegnany tkliwie na dobranoc, by jeszcze popracować nad ukończonym już prawie obrazem. Odsłonił obraz i z przyjemnością i zachwytem wpatrywał się na swe arcydzieło, gdy w tem posłyszał szelest i odwrócił się. W drzwiach sąsiedniego pokoju stał rzeźbiarz i jakiemś dzikiem, a strasznem spojrzeniem pochłaniał młodzieńca, stojącego przy sztaludze. Stefan zasłonił obraz i wyszedł z pracowni.

— Dobry wieczór — rzekł mistrz Wit.

— Dobry wieczór — czem mogę panu służyć.

— Proszę mi wybaczyć tę spóźnioną wizytę, lecz miałem zawsze nieprzepartą chęć poznać pańską pracę, a że już tylko parę dni dzieli nas od wielkiej wystawy, na której, jak słyszałem, ma pan zamiar umieścić swe dzieło, które mistrz Marcin tak bardzo chwali. Czy nie mógłby mi pan pokazać tego obrazu?

— Przykro mi — rzekł Stefan — lecz pracy mej nie pokazuję nikomu, zresztą zobaczy pan na wystawie.

Mimo tej odmowy i widocznej niechęci mistrz Wit nie dał za wygraną, i począł tak nalegać i perswadować, że biedny młodzieniec nie wiedział już, co począć i dopiero po krótkiej walce zgodził się. Mistrz dłuta, obejrzawszy obraz, uznał go za arcydzieło i nie szczędził swych pochwał. Stefan rósł jak na drożdżach z radości, to też nie zauważył fałszywego tonu w głosie Wita, i na uczynioną propozycję, by nawzajem zwiedził jego pracownię, i obejrzał rzeźbę przeznaczoną na wystawę, zgodził się bez wahania. Zasłonił obraz, i udał się po płaszcz do bocznego pokoju. Na to właśnie czekał rzeźbiarz. Podszedł, błyskawicznym ruchem odsłonił obraz wydobył z kieszeni flakonik z jakimś tajemniczym płynem i zawartość jego wylał na płótno, potem zasłonił obraz i stanął opodal. Gdy Stefan wszedł już gotów do wyjścia, wyszli obaj.

Wieczór był cichy, pogodny, gwiazdy skrzyły się na tle nieba i mrugały radośnie. Obaj szli chwilę w milczeniu, gdy w tem, jasna gwiazda oderwała się od nieba i zgasła Stefan drgnął. — Zły omen, — pomyślał.

Rzeźbiarz odczuł to drgnięcie i zaśmiał się dziwnie. Po chwili rzekł:

— Gwiazda zgasła, zgaśnie dziś czyjeś życie.

Ledwie to wyrzekł, a tu i druga gwiazda leci i ciągnie za sobą jasną smugę promieni.

Jakieś złe przeczucie ścisnęło serce młodzieńca i miał wielką ochotę zawrócić. Nie chcąc jednak okazać trwogi, która go nagle ogarnęła, silił się na spokój i rzekł niby wesoło:

— Ach panie, uciekajmy, zanim się nam więcej gwiazd na głowy posypie.

Tak się pan bardzo boi? — rzekł, z jakąś szyderczą zjadliwością i w tej chwili jakiś piekielny plan zrodził się w jego mózgu.

Nareszcie stanęli w miejscu. Rzeźbiarz odemknął bramę i weszli na ciemny korytarz. Gdy się znaleźli w pokoju, mistrz zapalił lampę i z jakimś gorączkowym pospiechem, wprowadził gościa do pracowni. Tam w jakimś osobliwym nieładzie porozrzucane były różne narzędzia i rzeźby napół rozpoczęte, a pod jedną ze ścian oparty o nią ramionami stał krzyż dużych rozmiarów z rozpiętym na nim Chrystusem naturalnej wielkości, tylko twarz jego nie była jeszcze ukończoną.

Stefan stał i z podziwem patrzał na to potężne dzieło dłuta.

Rzeźbiarz stał za nim i objaśniał szczegóły. W tem potrącił coś, co się stoczyło na ziemię. Był to duży gruby gwóźdź. Stefan pochylił się i chciał go podnieść. Rzeźbiarz pomimo swych lat w okamgnieniu rzucił się na nieprzygotowanego na tę napaść Stefana i jednym ruchem powalił go na wznak, a potem oniemiałemu ze zdumienia i przestrachu młodzieńcowi przygniótł piersi kolanami aż zatrzeszczało, i zanim biedny Stefan zrozumiał, że to nie żart, i zanim pojął, co chce uczynić, i zanim zdołał krzyknąć, bo dech mu w zgniecionej piersi zaparło, już mściwy człowiek, nie bacząc na nic i jakby porwany szałem podniósł gwóźdź, wziął młot do ręki i przygwoździł do podłogi ręce swej ofiary, a potem uczynił to samo z nogami.

Młodzienic nawpół omdlały wił się w strasznym bólu i męce, a twarz wykrzywioną kurczem śmiertelnej grozy i konania dawała straszny obraz boleści. A mistrz, spokojnie wziął dłuto do ręki i począł po mistrzowsku przenosić te drgające rysy konającego na twarz Chrystusa, i prawie nie zważał na coraz słabsze jęki dolatujące z podłogi, i pracował tak, aż do zupełnego ukończenia twarzy Chrystusa, która była zdumiewająco podobna do twarzy Stefana. Jęki już umilkły, a twarz wykrzywiona strasznym bólem i przerażeniem, oczy patrzały szkliste na postać Chrystusa

Rzeźbiarz skończył. Wyraz trjumfu bił z jego twarzy. Teraz ma zapwnioną sławę; rzeźba jego zyska nagrodę, tamten już z nim nie będzie rywalizował, niema już obrazu, który chociaż po śmierci zyskałby mu sławę. Dopiął swej zemsty podwójnie. Lecz teraz jakby oprzytomniał. Popatrzył na martwe ciało młodzieńca i jakby przerażony nieludzką swą zbrodnią, porwał się za głowę, i jak furjami gnany wbiegł do sąsiedniego pokoju i powiesił się na belce.

Mistrz Marcin, gdy się dowiedział, że Stefana nie stało, wszedł do jego pracowni i znalazł obraz zupełnie zniszczony jakimś gryzącym płynem, nie stało więc i tej pamiątki po nim. W dwa dni dopiero znaleziono ciało biednego młodzieńca. Narzeczona konała z boleści nad straszną śmiercią ukochanego. W kilka tygodni mistrz Marcin przeniósł się do lepszego życia, nie mogąc przeboleć strasznej śmierci ulubionego chłopca, ani patrzeć na męczarnie swej jedynaczki.

Zosia po śmierci ojca wstąpiła do klasztoru, by modlić się za swych ukochanych. Krzyż z Chrystusem, który w tak tragiczny sosób został wykończony, znajdować się ma według legendy w kościele N. M. P. w Gdańsku.

Marja Wawrzykówna.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

Najlepszemu Ojcu - Katechecie, Księdzu Kazimierzowi Smólskiemu, serdecznie poświęcam.

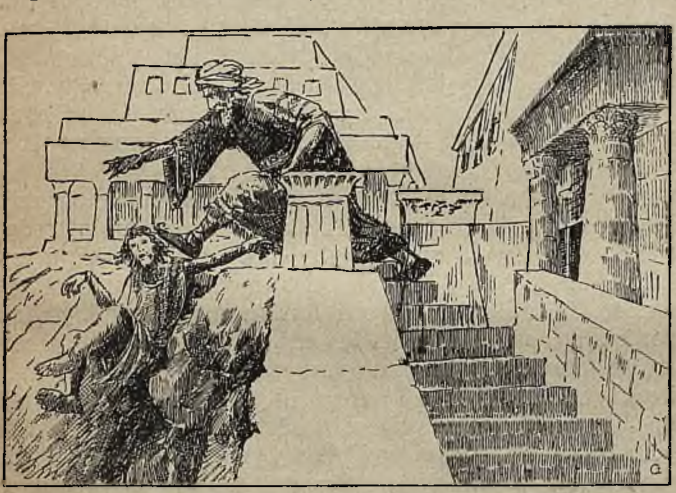
II.

(Rzecz dzieje się w Betanji, miasteczku gdzie mieszkał Łazarz z Marją i Martą.)

Zemsta Elizeusza.

U furty domu Łazarzarzowego, czekał Baruch, młodzieniec ślepy od urodzenia. Był suchy i blady, odziany w zgrzebną hitichin i takiż płaszcz, przepasany przez biodra płowym szalem. Co wieczora oczekiwał tu powracającego mistrza z Jerozolimy, który mu przynosił wieści z pod świątyni i opowiadał o cudach Chrystusa. Ślepiec, jakkolwiek nigdy nie słyszał głosu Proroka, ani dotknął Jego szaty, ukochał Go całą duszą tak, jak tylko szczery i opuszczony kaleka ukochać potrafi.

Po raz może setny, przedstawiał sobie cały zastęp kalek, uleczonych przez Pana, którzy ujrzeli



— Giń plugawcze!

świat na nowo i wszystkie jego piękności... Dla nich świeci słońce swoim złotym blaskiem, widzą barwne kwiaty, zieloną przyrodę i ptactwo niebieskie; w koło nich miasto ciemnej nocy, roztacza się życie jasne i pogodne... ach! Jakżeż wielkim i dobrym musi być Pan, który im to wrócił. I dlatego ukochał Go Baruch, a temwięcej, że słyszał od Marji z Magdali, że Chrystus wysłucha każdej prośby i nie odtrąca od siebie ani nieprzyjaciół. A więc, może paść Mu do stóp i błagać o zmiłowanie już nie dla siebie, ale dla oblubienicy, dla Hannah, córki nieprzyjaciela Jego, Elizeusza Faryzejczyka, chorej od lat pięciu. Oblicze ślepca poczęło się mienić różnemi barwy gdy myślał o niej. Los harłaczy zbliżył ich do siebie, opuszczeni przez świat żywy i wesoły, ze sobą znachodzili pokój wśród cierpień i dlatego życie płynęło im znośniej.

Ale gdy pomyślał, jak okrutny Elizeusz traktuje chorą, jak ją gnębi i spycha w grób z dnia na dzień, gdy pomyślał, że żaden Essejczyk już jej nie uleczy, wtedy w piersi ślepca wzbierał żal głęboki, ryjący bruzdy na policzkach. O! jakżeż wielkim wydawał mu się wtedy Prorok, pełen miłosierdzia, który wie czem jest kalectwo i prześladowanie, wie, czem jest życie, pozbawione promieni nadziei, a otoczone ciemnią smutku życie, któremu towarzyszy opuszczenie i urąganie, gorsze stokroć od śmierci. I wtedy składał swe wychudłe dłonie i modlił się słowami, podyktowanemi przez zbolałą duszę: Panie! Tyżeś jedyny w Izraelu, który patrzysz oczyma pełnemi litości, na marny żywot ruszonych niemocą. Ty wielki Cudotwórco, Synu Abrahama, zlituj się nad biedną Hannah, którą ukochała dusza moja, i wróć jej zdrowie Jezusie! Oto Cię błaga Baruch, ślepy, wynędzniały, którego boleść zabija z dniem każdym, więc miej miłosierdzie nad nią Panie z Nazaretu, albowiem jam bezradny, a któż mi pomoże?

Co wieczora, stojąc tu pod furtą, modlił się tak półgłosem póki mistrz nie nadszedł. Straże rzymskie poczęły grać wieczorną pobudkę z murów Jerozolimy, w chwili, gdy ostatni promień słońca złocił szczyty Góry Oliwnej. Na szarej drodze poczęły się ukazywać gromadki ludzi wracających z pracy, a równocześnie otwierały się furty domów, skąd wychodziły niewiasty naprzeciw mężów, synów lub braci, aby ich jeszcze na drodze pozdrowić: „Bascheim Adonaj!“

Do uszu ślepca dolatywały rozmowy o uzdrowieniu trędowatego, o ruchu i bójce pod świątynią i o rozegnaniu tłumów przez centurję na rozkaz Annasza. Wieści były ciekawe: Tu i ówdzie mówiono, że podobno Nazarejski Jezus przyjdzie w Sabath do Betanji, albowiem Marta kupowała u Symeona kwiaty na Jego przyjęcie.

Wiedziano o tem powszechnie w miasteczku, że Prorok życzliwością swoją darzył dom Łazarza, a że dziś w pobliżu świętego miasta dokonał cudu, przeto każdy chciał Go widzieć. I radowano się tą wieścią, którą Marja, oczekująca powrotu brata, głośno potwierdziła. W duszy ślepca poczęły grać nadzeje tak słodko, jak słodką była pieśń Dawida, śpiewającego Panu o zachodzie słońca. Twarz mu pałała rozkosznym szczęściem, albowiem w Sabath sprawdzą się sny wielu nocy, w których widział cud uczyniony nad oblubienicą.

Dnia tego, ponieważ mistrz Łazarz nie wrócił do Betanji, poszedł Baruch w odwiedziny do chorej przyjaciółki. Dom Faryzejczyka Elizeusza, wybudowany z kamienia stał na stromym, skalistym wzgórzu. Winiarz kazał go tam wystawić, aby wskutek złego dostępu nikt go nie odwiedzał, bo jako Faryzeusz i człowiek bogaty, znany w Jerozolimie, nie chciał się bratać z mniej zamożnymi od siebie i nie mającymi żadnego wpływu w Radzie Sanhedrynu. Nikt też go tu nie lubił, a jeśli kiedy wspominano o domie jego, to tylko dlatego, aby litować się nad biedną Rebeką, żoną jego i chorą od lat pięciu Hannah. Rebeka bowiem obarczona nadmiarem pracy, nietylko nie mogła jej podołać, ale także nie mogła czuwać nad chorobą córki, potrzebującą starannej opieki. I tak marniały dwa życia, wśród ustawicznych przekleństw ponurego Elizeusza, czyniącego wprawdzie miłosierdzie pod świątynią dla oka ludzkiego, ale dla swej żony i córki nie mającego ani krzty litości. Jedynym przyjacielem domu tego był Baruch, a zachodził tam przez miłość dla chorej, podczas nieobecności Faryzeusza. Dzieweczka niegdyś urocza, przemieniła się w blade widmo bez kropelki krwi, ciemne oczy, tryskające przed pięciu laty ogniem młodości i swobody, były dziś wyrazem boleści, goryczy i wyczerpania. Pozbawiona wszelkiego towarzystwa ludzkiego, spędzała dni długie jak wieki, czasem bardzo rozpaczliwie. Ale ożywiała się gdy przychodził Baruch dzielący z nią cierpienia,

Baruch kochający, przy którym zapominała o swym gorzkim losie i dlatego był jej droższym nad wszystko. Wtedy uśmiechała się z dziecinną radością, zapadłe oczy nabierały żywszego blasku; choroba zdawała się ustępować na tak długo, jak długo na krawędzi łoża siedział jej przyjaciel. A on, gładząc policzki swojej przyjaciółki, zdawał się być niemniej szczęśliwym; nie czuł swego kalectwa tak dotkliwie, ani owej nieśmiałości, która trzymała go od wszystkich ludzi z daleka. Ale gdy czasem chora zbyt silnie cierpiała, gdy poczęła skarżyć się na dojmujące kłucie w kręgosłupie, spowodowane wysychaniem mlecza pacierzowego, wtedy niewidomy pragnął przejrzeć choć na okamgnienie, aby oczyma prędzej poszukać rady i ulżyć jej czynną pomocą.

Nim przebrzmiały ostatnie wykrzykniki wracających z Jerozolimy, już Baruch przybył do chorej. Twarz mu pałała, z której Hannah wyczytała jakąś bezdenną nadzieję. Sama nie wiedzała dlaczego drży, gdy chłodne dłonie ślepca dotknęły jej policzków i dlaczego głos jego tak dziwnie dziś jest falujący i rozkoszny.

— Doczekała się dusza moja, iże ci radość sprawię droga przyjaciółko! Niech ożywi się duch twój, albowiem zdrowie zbliża się do ciebie.

Po raz to pierwszy zaczął Baruch mówić o zdrowiu, jakkolwiek wiedział, że chora jest nieuleczalną. Atoli wiara w moc Narazejskiego Jezusa, hodowana w duszy ślepca od wielu miesięcy, wiara, na której gruncie wyrósł gmach nadziei i elektryzował każdą krwi kropelkę, sprawiła , że biedny kaleka musiał się wywnętrzyć.

— Zdrowie się zbliża... powtórzyła Hannah. — O jak miłym jest ten wyraz, jak bardzo miłym... Tyle w nim szczęścia, swobody, radości; tylko nie dla mnie Baruchu... Na wargach chorej zarysował się skurcz boleści i goryczy. — Czemuś mi to odebrał Boże Abrahama, czemuś mnie ujarzmił!?

Żal jej był całkiem naturalny; Baruch począł pojmować, że źle rozpoczął; trzeba było chorą naprzód przygotować na przyjęcie wielkiej nadziei. — Przebacz żem mimowoli ściągnął na twe usta gorycz przeciw Bogu. Ja ci chciał powiedzieć, że wielki Rabbi z Nazaretu przyjdzie w Sabath do Betanji, zaczem zbliża się koniec twojego kalectwa. I tak jak dziś w pobliżu Golgoty uzdrowił trędowatego Natana, jak wielu ślepym dozwolił spoglądać na świat i dziwy jego, tak ciebie dźwignie z łoża niemocy.

Z piersi dziewczyny wybiegło westchnienie. W zapadłych oczach pojawiły się błyski ufności, nadziei i miłości, które poprzez łzy, padały na szczere oblicze ślepego kaleki. A Baruch mówił dalej: Pana litości wzruszy moja prośba, tak jak już tysiące innych Go wzruszyło. On będzie czytał co w mej duszy na dnie: Znajdzie tam miłość dla ciebie czystą jak kryształ i pragnienie twego szczęścia, znajdzie tam wiarę i ufność głęboką, a przeczby nie miał cię uzdrowić?

— Baruchu, jakiś ty dobry — załkało dziewczę.

— I miną czasy udręczenia, a potem... Pójdziesz na Górę Oliwną, kędy szumią cedry, gdzie pachną mirty, żonkile, nard i cyklameny i śpiewać będziesz Panu wraz zemną. Czegoż mam pragnąć więcej na tej ziemi?

— Światła dla oczu — odrzekła Hannah.

— Ah! — westchnął Baruch. — Prawda, że chciałbym cię ujrzeć choć na okamgnienie i matkę moją, chciałbym ujrzeć świat i Pana świątynię, chciałbym spojrzeć na gwiazdy wieczoru i doznać tej radości, jaką odczuwali wszyscy uzdrowieni, ale żaliż godziłoby się prosić o dwie rzeczy naraz? A jeśli nie odtrącisz od siebie ślepego Barucha, gdy Pan zdrowiem cię obdarzy, to oczy moje zastąpię twojemi... Wszak jestem ślepy od urodzenia...

W słowach tych przebijał jednak pewien żal, nie trudny do pojęcia. Zapanowało chwilowe milczenie. W duszy ślepca toczyła się walka, na tle wypowiedzianego życzenia, o prawo pierwszeństwa. Paść do stóp Proroka i prosić o światło dla oczu, czy prosić o zdrowie dla niej, jak prosił codziennie u furty Łazarza? Wyobrażenia przynosiły mu szereg błogich obrazów, w których widział się uzdrowionym z kalectwa. Wszystko wkoło cieszyło go: zieleń urocza, tak nowa dla oczu jego, różnorodność barw kwiecia, a przedewszystkiem możność szybkiego orjentowania się po drogach i ścieżkach, możność podziwiania, cieszenia się z własnych spostrzeżeń, wszystko to miłym echem odbijało się w jego biednej duszy. Jednakże biedniejsza Hannah! Zaliż nie jest stokroć nieszczęśliwsza? Ułomności, z któremi rodzi się człowiek, zaprawdę znośniejsze są, niśli te nabyte w kwiecie młodości. Ona, dla której miłość wrzała w jego sercu, była niegdyś swobodna, świeża jak kwiat cyklameny, ale zato dziś cierpi rozpacznie, tem okropniej, im milszą była jej swoboda.

I kaleka wyparłszy wszelkie samolubne myśli, zawołał: Ty jesteś, dla której usta moje błagać będą Pana! Tobie pierwszeństwo zostawię nademną, albowiem los twój gorszy jest od mego!

W oczach chorej zarysowała się wdzięczność tak głęboka, jak tonie oceanu. Zaiste, gdyby ślepiec mógł był spojrzeć w te oczy, gdyby mógł zbadać, jak wielkim i drogim stał się dla cierpiącej, byłby miał pewność. że wszechmądry Salomon nigdy nie był tak cenionym, ani tak wielkim nie był nawet Mojżesz!...

Z cieniów pinij, ciągnących się wzdłuż szarej drogi wynurzył się Elizeusz Faryzejczyk. Powracał do domu przepełniony niezadowoleniem z powodu porażki Faryzeuszy pod świątynią. Pełen najrozmaitszych myśli i kombinacyj na tle dzisiejszego zajścia, począł piąć się powoli na wzgórze, gdy uszu jego doleciała rozmowa, tocząca się między Hannah i Baruchem. Przystanął więc i słuchał.

— Owo masz plugawca, do siedmiukroć Molochów!

Przekleństwo takie wybiegało z ust Elizeusza, kiedy się coś działo wpoprzek jego życzeń.

— Owo, w moim domu śmie plugawiec stawać za nowym Prokiem, śmie podburzać dziewkę, gnijącego trupa!?

W ciemności zaświeciły oczy Elizeusza czerwonawym blaskiem. Wściekłość poczęła nim miotać tem większa, że czuł się mową Barucha upokorzony, zmiażdżony jak ziarna zbożowe pod młyńskim kamieniem. Pchnął wrota i stanął w progu olbrzymi wzrostem, dziki, zczerwieniały. Za rozszerzanie chlubnych wieści o Nazarejczyku, ściągnie na dom Łazarza pomstę Sanhedrynu, ale na plugawcu zemści się sam. Chora wyczytała z oczu ojca to straszliwe postanowienie, rzuciła mu błagalne spojrzenie, które mówiło: Ojcze mój ojcze, nie czyń mu nic złego... Ale Faryzeusz porwał ślepca w swe muskularne ramiona i wyniósł go z domu.

W bladem oświetleniu miljarda gwiazd, piętrzyło się wzgórze, z którego tu i ówdzie nagie granitowe złomy wychylały swe straszliwe, szpiczaste głowy, rzucające wydłużone cienie i półcienie w dal... Podniecony winiarz uniósł w górę Barucha; z piersi wy-

rywały się stęki wściekłości i przyspieszony, głośny oddech z natężenia... A potem zrzucił go ze wzgórza.

— Owo giń plugawcze!

Przez chwilę słychać było trzask łamanych krzaków, szmer sypiącego się żwiru, kilka cichych jęków z dna parowu, a potem wszystko ucichło...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiecie, co jest najcięzsą robotą na świecie? Mnie się widzi, ze kuzden ile was ino jest na świecie, to pedziołby, ze jego robota jest najcięzsą ze wszyćkich. A więc rolnik uwaza cy to młockę, cy rąbanie drzewa na podpałkę za najcięzsą mordęgę od wszyćkich. Prefesur nieraz narzyka, ze wolałby gnój od prosiąt wyrzucać, jak cudze bachory na cytaku ucyć. Zołmirz powi ci, zeby mu nie była strasna zadna charówa, bele jeno nie potrzebował nosić na sobie karabinu i tornistra. A rzemieślnik kuzden to swoje rzemiosło za najtrudniejse uwaza, a nawet jegomość, gdy jem w nocy lub podcas hlapy niebieskiej przyjdzie do chorego jechać, to se nieraz pomyślą, ze woleliby cały dzień izbę zamiatać, a w nocy się po katolicku przespać. I tak kuzdemu się zdaje, ze to, co on musi robić, to jest najcięzse, a innych robienie funta babskich kłaków nie warte.

A mnie się znowu zdaje, ze najcięzsą robotą, to jest myślenie. Ale nie takie byle jakie myślenie ino porzomne. Bo są rozmaite myślenia: jedni ludzie myślą brzuchem, inksi kiesenią, a jesce inksi całem ciałem, a tylko niktórzy głową. Naprzykład gospodarz mój to ciągiem myślą brzuchem. Ich nic nie obchodzi rozumna gazytka, ani poucająca ksiązka, ich nie obchodzi zadne, choć i najpiekniejse kazanie w kościele, a nawet nie zwracają uwagi na przyodziwę, byle ino mieli od świtania do zmirzchu pełne brzuszysko, to juz wszyćko będzie dobrze.

Gospodyni za to o brzuch nie ino mój, ale nawet swój rodzący nie wiele dbają, bo ich myślenie nie w brzuchu, ale w kieseni siedzi. Zniesie gosposi kurka jajko, to oni zamiast z tego jajka kawałecek katolickiej jajeśnicy zrobić i sami zjeść i ze mną po Bożemu się podzielić, to oni smyk z jajkiem do Mośka, przehandlują je, a grosiki na spód skrzynki schowają, ze ich ani ręka, ani noga ludzka nie zuźry. A jak się przytrafi jałówce nieszczęście i ma cielątko, to za nie złociaki takze się w skrzynce zmiescą. I tak ze wszyćkiem i bez to ani sami se nicego w zyciu nie uzyją, ani nikt przy nich na ludzi nie wyjdzie.

Kaśka zato myśli całem ciałem. Ona tam o brzusysko nie wiele się stara choć je i tak ma jak plebańska stodoła, grosem nigdy nie śmierdzi, bo nim go dostanie, to go juz śtyry razy wyda, ale za to wszyćkiem jest jej grzysne cielsko od góry do dołu. Myślenie jej zacyna się coprawda od głowy, ale kończy się na małym palcu. Najprzód więc jej myślenie jest na to, aby te kudły na łbie, których jej Poniezus nie poskąpił, zedrzyć ze łba i chodzić potem, jak ta żrybicka, z grzywą na karku. Ze se ta w mieście dzieuchy głowy podskubują, to nic dziwnego! W mieście przy takiem ruchu wielgaśnym, to o babskie splotki mógłby albo fijakier, albo tramwaj zawadzić i mogłoby być nieszczęście, ale na wsi, gdzie tyle wolnego powietrza, to przecie nic takiego stać się nie może i wszelkie obcinanie kudłów niepotrzebne.

Potem myślenie Kaśki przechodzi na jej dalse cęści ciała. Dawniej la baby wystarcyła paceśna kosula, paceśna katanka i paceśna spodnica. Dzisiejsem Kaśkom wszyćko to obmierzło. Im ciągle ino na myśli to muślinki, to flanelki, to zefirki, to... zreśtą choroba ich tam wie, jak się to wszyćko nazywa!... A wszyćkie Kaśki myślą tak samo, aby codzień było inakse, codzień krótse, tu udarte, tam przypięte, a wszyćko na zgorsenie i obrazę Boską.

Wreście myślenie wszyćkich Kasiek przechodzi do nóg. Dawni, jak se sprawiła pra-pra-babka buciary, to je nosiła i prababka i babka i matka i córka, a nawet nieraz i wnucka, jesce swojemu potomstwu zostawiła. A dzisiaj co? Taka Kaśka cy nie Kaśka całemi nogami myśli, aby te buciki były jak najświarniejse, jak najmniejse i wychodzi takie, zeby się w nich skowronkowe jajko nie zmieściło. A potem co? Stąpi raz, stąpi drugi raz i butowi zaden dochtór juz nie poradzi.

Bo Kaśka myślała wtencas nogami a nie głową.

A są na świecie nietylko baby, ale i ludzie tacy, co nie potrafią głową myśleć. Bo jakby myśleli głową, toby się najpierw starali, aby ta głowa była porządna i to porządna nie z wierzchu, ale we środku. Gdyby ludzie myśleli głową, toby robili wszyćko, aby w tej głowie było jak najwięcej rozumu. A przeciez kuzden to wie, bo i Kaśce to nawet świadomo, ze rozumu kura nie zniesie, ani go na jarmarku za pieniądze nie kupić, ino trzeba go zdobywać i to z trudem wielkiem. Nie ukradnies go w dworskiem lesie, nie wygras na loteryji ani na dolarówkę, ale trzeba za niem śpyrać i to nieraz bez całe zycie póki się go ile tyle nie uskłada. I wierzę, ze niejeden chciałby uśpyrać tego rozumu jak najwięcej, ino nie wie, gdzie go sukać. A przecie to tak niewielka rzec, ino trzeba myśleć głową! A kto będzie myślał głową, to zaraz pozna, ze kopalnią wszelkich mądrości to są ksiązki i dobre gazyty. I kto będzie myślał nie brzuchem, abo kiesenią, abo całem ciałem, ino głową, to zaraz jutro odrachuje te głupie dwanaście złotych, zaniesie je na pocztę i pośle na „Rolę", z której za to przez cały rok będzie miał pożywienie dla swojej głowy.

I wiem, że zrobią to wszyscy mądrzy ludzie.



Co kocham?

Kocham ja rolę w zagony zoraną,
Kocham też „Rolę" obszernie pisaną,
Lecz bardziej kocham Ojczyznę Polskę,
I polską chatkę i polską wioskę.
Kocham ja miasta polskie wspaniałe.
Kocham też polskie Karpaty białe,
Lecz bardziej kocham rodzoną chatkę,
A w chatce ojca swego i matkę.
Kocham ja wszystkie polskie dziewoje,
Kocham — bo noszą przepiękne stroje.
Lecz bardziej kocham Chrystusa w niebie,
Którego każdy wzywa w potrzebie...

Antoni Szymański.

Jak Walek z Kubą polował.

(Humoreska.)

W Chochołowie dziś wielki ruch. Jutro Boże Narodzenie, więc w całej wsi ruch przedświąteczny. Parobcy rżną sieczkę dla koni, dziewki przygotowują paszę dla bydła, gospodarze doglądają jak służba pracuje, a gospodynie kąpią dzieci w balji, boć to doroczne święto, zaglądając od czasu do czasu w piec, czy pieczywo się udało.

Na końcu Chochołowa pod lasem stoi mała chałupa. Gospodarzy w niej Walek niedawno ożeniony. Choć, jak zwyczajnie na dorobku, nie bogaty, trzyma jednak parobka do pomocy w gospodarce. Dziś właśnie, korzystając z mrozu, kazał mu młócić koniczynę, co też Kuba gorliwie wykonuje, ciesząc się, że nietylko jutro spocznie, ale więcej jeszcze z tych przysmaków, jakie przygotowane przez gospodynię wonieją aż do stodoły. Z pobliskiego lasu słychać strzały. To dziedzic z Pogorzał poluje. W miarę zbliżania się nagonki coraz głośniej słychać strzały, a nawet chwilami dolatują głosy. Kuba, miarkuje, że polowanie zbliża się, zaciekawiony wyszedł ze stodoły, zostawiwszy drzwi otwarte. Na podwórzu zaczął kręcić papierosa, obserwując wychylającą się z lasu nagonkę. Naraz spostrzegł lisa biegnącego od lasu. Zapomniał o papierosie, a całą uwagę skupił na lisie, który wpadł na podwórze, a nie mając wolnej drogi naprzód, jednym skokiem znalazł się w stodole. Kuba szybko podbiegł, i w mig się zorjentowawszy, zamknął stodołę i wpadł do izby, potknąwszy się na balji, w której kąpała się właśnie najmłodsza Kasia.

— Gospodarzu lis w stodole — jednym tchem wypowiedział do gospodarza, który schylony przy kuchni nabierał ognia do fajki.

— I co? — porwał się Walek.

— Zamknąłem wrota, a teraz go złapiemy.

Spodobała się ta myśl Walkowi, więc odłożył fajkę, na głowę nałożył setną czapkę baranią, zdjął z pieca suszący się bijak do cepów i tak uzbrojony wyszedł na podwórze, w duchu już widząc skórę z zabitego lisa. Kuba kręcił się już koło stodoły, obmyślając najpewniejszy sposób zabicia lisa. Po krótkim namyśle wskoczył do stajni i wynosząc widły, mówi do gospodarza:

— Gospodarzu, wdrapię się przez sąsiek na boisko i zabiję lisa.

Spodobała się Walkowi ta rada, nie chcąc jednak, aby korzyść z zabicia lisa spadła na Kubę, postanowił sam z widłami wdrapać się do stodoły, a Kubę z bijakiem postawić przy małem okienku u dołu wrot stodoły, przeznaczonem dla kota. Choć niechętnie musiał się Kuba zgodzić na taki obrót rzeczy, zajął więc straż przy okienku, otwierając go. Wiedząc, że gospodarz ma większe szanse zabicia lisa, z tem większą gorliwością czaił się przy okienku z bijakiem gotowym do uderzenia. Gospodarz tymczasem przekładał snopy koniczu, upatrując pod każdą lisa, jednak bezskutecznie.

Naraz na podwórzu powstał gwar i krzyk. To gospodyni, wynosząc wodę z kąpieli, poślizgnęła się i upadła, wywołując śmiech i krzyki przebiegającej nagonki... Kuba jednak myślał, że lis już wybiegł. Chcąc się o tem przekonać, szybko wytknął głowę przez okienko i buch, buch dwa uderzenia Kuby spadły mu na głowę, który wypłowiałą czapkę gospodarza wziął za futro lisa. Rozległ się krzyk wstrzymujący Kubę od dalszych razów. Widząc głowę gospodarza, otworzył drzwi i wtedy dopiero lis jednym skokiem wydobył się z pod stosu młóconej koniczyny i znalazł się na polu. Widok ten o wściekłość przyprawił jęczącego z bolu Walka, wyrwał kubie bijak i z pasją jął okładać Kubę mszczą się nie tyle za swój ból, ile za otworzenie wrót, któremi lis uciekł. Osłupiał Kuba, nie mogąc zrozumieć, co zaszło, przed chwilą z całą zaciętością bił lisa, a teraz jego tłuką i dopiero po kilku razach wyrwał się z pod razów rozwścieczonego gospodarza.

Teraz opamiętał się i Walek. Próbuje zdjąć z głowy czapkę i o dziwo zaduża do dziś czapka, ciasno się trzyma głowy. Dopiero po kilku syknięciach z bolu dała się zdjąć i teraz nadbiegła gospodyni ujrzała na głowie męża dwa guzy wielkości dużego ziemniaka.

Do wieczora słychać było jęki Walka, zmieniającego co chwila kompresy wodne na głowie, wyrzekanie Kuby, któremu nie mogło dotąd się pomieścić w głowie, jak mogły razy przeznaczone dla lisa skrupić się na nim i gderanie gospodyni, a sprawca wszystkiego lis machnął wesoło kitą, ciesząc się z uratowanego życia.



Poradnik gospodarczy.

Jednym z bardzo dobrych środków poprawienia ziemi jest wapnowanie roli. Działanie wapna jest wielostronne; odkwasza ziemie kwaśne, unieszkodliwiając kwasy przez łączenie się z niemi, spulchnia gleby za ciężkie w uprawie, stwarzając pomyślną budowę gruzełkowatą, przyczynia się do bujnego życia bakteryj w ziemi, dostarcza roślinom pokarmów jako samo wapno i przez uruchomienie niedostępnych dotychczas (przed wapnowaniem) pokarmów roślinnych. Wapnować można wapnem palonem w kawałkach, lub wapnem mielonem, ewentualnie miałem wapiennym, znajdującym się nieraz obok pieców w wapiennikach w wielkiej ilości. Bryły wapna palonego po wywiezieniu w pole układa się w kupki, które obsypuje się ziemią w celu równomiernego i odpowiedniego rozłożenia się (rozlasowania) wapna na proszek. Proces rozpadania się „kawałków“ wapna polega na ostrożnem (aby nie otrzymać wapna zupełnie rozlasowanego z mlekiem wapiennem) skrapianiu ułożonego w kupkach wapna wodą. Gdy się używa gotowego już miału wapiennego, to praca jest ułatwiona, gdyż wystarcza rozsypanie wapna (łopatami) po polu. Rozrzucony miał, czy otrzymany przy pomocy wody proszek, należy natychmiast wymieszać z ziemią przez płytką orkę, lub zbronowanie pola. Wapnować winno się w czas suchy (by nie padał deszcz) i suchą rolę.

Co się tyczy roślin, pod które zazwyczaj wapnujemy i które są wdzięczne za wapno, to należy wymienić: groch, koniczynę, lucernę, buraki pastewne, owies. Niektóre rośliny jak łubin, nie znoszą wapnowania. Ziemniaki zasadzone w pierwszym roku po wapnowaniu mogą cierpieć na tak zwaną chropowatość. Najodpowiedniej wykonać wapnowanie w jesieni pod owies, w który wsiewamy koniczynę (na wiosnę — której plon po zwapnowaniu podnosi się zazwyczaj

wydatnie). Zbronowane przed rozsypaniem wapna łąki i pastwiska, bronuje się po raz drugi w celu „wymieszania“ wapna z ziemią.

Pamiętać przy wapnowaniu trzeba, by równocześnie z wapnowaniem nie nawozić ziemi obornikiem, który w przeciwnym razie ulegnie za szybkiemu rozkładowi. Nie należy również mieszać (łączyć) wapna z superfosfatem i siarczanem amonu.

Stosowana przy wapnowaniu ilość wapna wynosi od 20—40 cent. na 1 ha (=2 morgi) zależnie od gleby (im cięższa, tem więcej wapna), i od wapna, które stosujemy. Trzeba bowiem pamiętać, że miał wapienny, (który leży nieraz w wapiennikach długi czas) przedstawia daleko mniejszą wartość pokarmowo-nawozową, aniżeli wapno mielone, lub rozproszkowane bezpośrednio przed użyciem bryły wapna.

W czasie zimy, gdy rolnicy mają mniej pracy, powinni pamiętać o swych narzędziach, a szczególniej o pługach. Pługi potrzebują bowiem zamiany zużytych przy robotach części, głównie odkładnic i lemiesza .Zamiana ich łatwa i każdy wiejski kowal może ją wykonać. Stępiony lemiesz trzeba sklepać po poprzedniem nagrzaniu go, a więc naostrzyć go. Naostrzenie lemiesza można wielokrotnie powtarzać, a jest ono konieczne, bo ostry lemiesz stawia mniejszy opór koniom, które nie tak się męczą i pług dokładniej orze.

Buksy w kołach ścierają się, skoro do nich dostaje się piasek. Muszą być każdorazowo zamienione nowemi. Po skończonej orce pług dokładnie zrewidować i przechować pod dachem, żeby skutkiem rdzy nie niszczył się. Skontrolować przy pomocy szablonu, czy grządziel nie jest zbyt odgięta, bo wtenczas pług zanadto wchodziłby w ziemię, przy za silnem zaś zgięciu wyskakuje z ziemi. Wszystkie śruby dokładnie przykręcić, bo po zgubieniu muterki wypada cała śruba i pług przestaje dokładnie pracować. Ażeby śruby nie zardzewiały, zwilżyć je naftą. Lemiesz poklepać do przyszłej roboty, osie naoliwić, a wszystkie trące się żelazne części pługa, tj. lemiesz i odkadnie, nasmarować tłuszczem naprz. wazeliną lub maścią grafitową.

Niektórzy praktycy radzą dokładnie je pobielić gęstem wapnem, żeby nie pozostało żadnego nie pokrytego na nim miejsca. Te zabiegi mają na celu niedopuszczenie do zardzewienia, bo rdza nietylko niszczy żelazo, ale zardzewiały pług tak długo pójdzie ciężko za ciągnącym go roboczym inwentarzem, dopóki odkładnia i lemiesz nie wygładzą się dokładnie od ziemi.

Poradnik lekarski.

Ospa.

Ospa należy do chorób zakaźnych. Rozróżniamy ospę czarną i białą. Objawy: znużenie, osłabienie, silny ból głowy i gorączka. Leczenie: w początkach choroby należy zastosować półkąpiołek z omywaniem górnej części ciała. Gdy choroba już większe przybrała rozmiary, trzeba chorego ubrać codziennie w koszulę zamaczaną w gorącym odwarze ze siana. Oprócz tego trzeba zarządzić dwa do czterech razy półkąpiołek lub jedno omywanie całkowite. Co zaś do jedzenia i picia, to gdy chory nie ma apetytu, nie należy go zmuszać a pić można dawać mu w małych dawkach. Najlepsze jest wino - miodowe i herbata z piołunu i centorji.

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru dołączamy czeki dla wszystkich prenumeratorow „Roli“. Prosimy o nadesłanie prenumeraty całorocznej, ułatwi to nam bardzo pracę administracyjną, dlatego też jest tańsza od prenumeraty kwartalnej o 1 zł. 60 gr. Nadto wszyscy Prenumeratorzy całoroczni wezmą udział w losowaniu nagród w postaci książek powieściowych, których do rozlosowania przeznaczyliśmy 100. Gdyby ilość Prenumeratorów całorocznych była wyższa jak ubiegłego roku, ilość nagród powiększymy.

Rozpisanie wyborów do sejmu. Wybory do sejmu zostały rozpisane na dzień 4 marca 1928 r., do senatu na 11 marca. Wobec tego obowiązuje następujący kalendarz wyborczy: Dnia 13 b. m. ośm najliczniejszych klubów poselskich przedstawia generalnego komisarza wyborczego, 8 członków państwowej komisji wyborczej i tyluż ich zastępców. 15 grudzień: Generalny komisarz wyborczy na wniosek prezesa mianuje przewodniczących okręgowych komisyj wyborczych. 17 grudzień: Generalny komisarz wyborczy ogłasza w wojewódzkim dzienniku urzędowym nominacje przewodniczących okręgowych komisyj wyborczych i ich zastępców. Wojewoda (komisarz rządowy) ogłasza nominacje członków okręgowych komisyj wyborczych przez nich mianowanych. 20 grudzień: Rada gminna, względnie wydział powiatowy mianuje lub wyznacza trzech członków obwodowej komisji wyborczej i tyluż ich następców. 25 grudzień: Naczelnicy gmin (prezydenci, burmistrze, wójtowie, zarządcy obszarów dominjalnych) sporządzają dla każdej miejscowości spis wyborców w trzech egzemplarzach. 26 grudnia: Naczelnik gminy przesyła trzy egzemplarze spisu wyborców przewodniczącemu obwodowej komisji wyborczej. 1 styczeń 1928 r.: Obwodowa komisja wyborcza przesyła jeden egzemplarz spisu wyborców okręgowej komisji wyborczej. 2 styczeń: Obwodowa komisja wyborcza wykłada spisy wyborców do publicznego przeglądu 15 styczeń: Ostatni dzień wyłożenia spisu wyborców do przejrzenia. 16 styczeń: Ostateczny termin wnoszenia reklamacyj do obwodowej komisji wyborczej przeciwko pominięciu w spisie lub wpisaniu kogokolwiek nieuprawnionego. 22 styczeń: Ostateczny termin zgłaszania sprzeciwu przeciwko reklamacji o wykreśleniu ze spisu. 24 styczeń: Zgłaszanie państwowych list kandydatów. 26 styczeń: Obwodowe komisje wyborcze posyłają okręgowym komisjom wyborczym dwa egzemplarze spisu wyborców. 30 styczeń: Obwodowe komisje wyborcze przyjmują napływające sprzeciwy przeciwko wykreśleniu ze spisu wyborców i przesyłają je dodatkowo do okręgowych komisyj wyborczych. 1 luty: Kandydaci z list państwowych składają na ręce przewodniczącego państwowej komisji wyborczej oświadczenie o zgodzie na ubieganie się o mandat, oraz stwierdzenie, że kandydat uważa się za obywatela polskiego i że wedle swojej najlepszej wiedzy posiada bierne prawo wyborcze. 3 luty: Generalny komisarz wyb. ogłasza w „Monitorze Pol.“ państwowe listy kandydatów. Zgłaszanie list kandydatów. 9 luty: Kandydaci z list okręgowych zgłaszają na ręce przewodniczącego okr. komisji wyborczej oświadczenie o zgodzie na ubieganie się o mandat, oraz stwierdzenie, że kandydat uważa się za obywatela polskiego i że wedle swojej najlepszej wiedzy posiada bierne prawo wyborcze. Pełnomocnicy okręgowej listy kandydatów zgłaszają na ręce przewodniczącego okręg. komisji wyborczej oświadczenie o przyłączeniu listy okr. do listy państwowej. 13 luty: Ostatnie wyłożenie do publicznego przeglądu, ostatecznie zatwierdzonego spisu

wyborców. 21 luty: Okręgowe komisje wyborcze dostarczają obwodowym komisjom wyborczym afiszy z listą kandydatów, celem rozplakatowania. 4 marzec: Głosowanie do sejmu. 7 marzec: Posiedzenie okręgowej komisji wyborczej, w celu ustalenia wyniku wyborów do sejmu. 11 marca: Wybory do senatu. 14 marca: Posiedzenie okręgowej komisji wyborczej w celu ustalenia wyniku wyborów do senatu.

Koniec wojny z Litwą. Jak wiadomo, po zakończeniu wielkiej wojny wszystkie państwa nawiązały ze sobą stosunki dyplomatyczne i zaczęły ze sobą żyć w większej lub mniejszej zgodzie. Jedynie maleńka Litwa ogłosiła całemu światu, że pozostaje nadal w wojnie z Polską. Oczywiście o takiej prawdziwej wojnie myśleć ona nie mogła, gdyż kilka naszych pułków starłoby całą „armię" litewską w ciągu paru dni, ale wojna jej z Polską zasadzała się na tem, że Litwini nie nawiązali z Polską zupełnie stosunków dyplomatycznych i na każdym kroku siepali się, jak pchła na powrózku, wołając ciągle, że gdy im damy Wilno, to zawrą z nami pokój. Na takie żądanie trudno było co odpowiadać, gdyż przecież tak polskiego miasta jak Kraków lub Warszawa nie można komuś dawać tylko dlatego, że on tak chce. Ale Litwini nie dali za wygraną i wnieśli na nas skargę do Ligi Narodów, gdzie Rada tej Ligi zebrała się na narady. W ubiegłą sobotę przyszła pod obrady Rady Ligi skarga Litwinów. Na dzień ten pojechał do Genewy Marszałek Piłsudski. Gdy zaczęto obradować nad tą sprawą, Marszałek nie bawił się w długie ceregiele, ale powiedział: „Proszę panów! Ja tu przyjechałem, aby usłyszeć słowo „pokój", a tymczasem słyszę rozważania, może bardzo ważne, ale mnie w tej chwili nic a nic nie obchodzące. Te szczegóły mnie tu nie sprowadziły, ja chcę wiedzieć, czy jest pokój i czy Liga zdolna jest się doń przyczynić?" Marszałek zwróciwszy się w tej chwili do niczego niespodziewającego się premjera litewskiego Waldemarasa, zapytał: „Panie Waldemaras! Ja chcę wiedzieć i usłyszeć, czego pan chce i czy jest pokój, czy wojna?" Waldemaras zaskoczony tem pytaniem, zmieszał się bardzo i odpowiedział cichym głosem: „Ja chcę pokoju. Jest pokój". Inaczej odpowiedzieć nie mógł, gdyż wiedział dobrze, że maleńka Litwa wobec potęgi Polski nic nie znaczy. Tak tedy Marszałek Piłsudski swem stanowczem wystąpieniem rozstrzygnął jednem powiedzeniem na naszą korzyść, a usłyszawszy to zapewnienie, dodał: „W takim razie nie mam nic do dodania. Rola moja jest spełniona. Dziękuję panom. Jest pokój, każe bić w Polsce na „Te Deum", że jest Pokój z Litwą. Wracam dziś wieczór do kraju". I jak powiedział, zaraz w sobotę wieczór wyjechał z Genewy. Marszałek Piłsudski swem energicznem wystąpieniem zadziwił świat cały, a znaczenie Polski podniósł wysoko w umysłach wszystkich dyplomatów. „Dziadek" pokazał jeszcze raz swoją potęgę nietylko wobec swoich, ale i wobec obcych.

Rekord przestępczości — 143 razy karany. Przed sądem powiatowym w Nowym Sączu stawał za włóczęgostwo niejaki Tomasz Palmowski, urodzony w Czechosłowacji, a przynależny do powiatu nowosądeckiego. Palmowski, skazany tym razem na cztery dni aresztu, ma za sobą, jak się na rozprawie okazało z jego sądowej karty karnej, niezwykle bogatą, rekordową wprost przeszłość przestępczą — był już bowiem karany przez szereg sądów w Polsce i większość sądów byłej monarchji austro-węgierskiej ogółem 143 razy, a w tem raz 4-letniem więzieniem za zbrodnię zabójstwa. Niedaleko już więc temu uporczywemu przestępcy, liczącemu 62 lata życia, do jubileuszu 150-tej kary sądowej.

Rozbójnicy w górach. Okolice Żabiego, Tatarowa i Kosmacza opanowała od jakiegoś czasu szajka uzbrojonych bandytów, ktorzy grasują w górach, a kogo nie mogą dosięgnąć, tego witają regularną strzelaniną. Dopiero niedawno ostrzeliwali krwawo ci sami, zdaje się, zbóje jadących leśników, a oto policja dostała wiadomość o nowym ich występie. Mianowicie niejaki Mikołaj Polak szedł onegdaj lasem z Tatarowa do Kosmacza. W czasie, gdy przechodził przez górę „Łysyna", wypadli z nienacka dwaj uzbrojeni bandyci.



Jeden z nich uderzeniem pięści powalił Polaka na ziemię, drugi bandyta, przebrany w zrabowany mundur leśnikowi, kazał mu wstać i iść z nimi. Polak nie mógł się oprzeć wezwaniu. Ci zaprowadzili go w głąb lasu, gdzie siedziało kilkunastu ludzi uzbrojonych w karabiny. Tam poddano Polaka gruntownemu egzaminowi. Wypytano, skąd idzie i kogo widział po drodze, a najważniejsza: ile ma pieniędzy. Gdy dowiedzieli się, że nic, kazali mu się rozebrać do naga, przeszukali każdą kieszeń i najmniejszy kąt bielizny, a następnie puścili wspaniałomyślnie wolno, zakazując mu zwierzania się komukolwiek o przygodzie. Na wieść o tem policja zarządziła obławę i jest nadzieja, że cała szajka wpadnie w jej ręce.

Tragiczna śmierć podczas pracy. Z Piotrkowa donoszą: W Woli Krzysztoporskiej pod Piotrkowem zdarzył się onegdaj okropny wypadek, zakończony tragiczną śmiercią 58-letniego blacharza Wajnrycha z Piotrkowa. Wajnrych zatrudniony był w tamtejszej fabryce drożdży Szpilfoglów przy różnych pracach blacharskich. W dniu krytycznym Wajnrych reperował rynnę deszczową na budynku fabrycznym złamaną na wysokości czwartego piętra By dostać się na taką wysokość, sporządzono windę. Wajnrych przymocowany został do liny, którą kilku robotników ciągnęło. Gdy Wajnrych znajdował się już na wysokości czwartego piętra, zaczepiła się winda o wystającą cegłę. Robotnicy pociągnęli linę z całej siły, chcąc w ten sposób usunąć cegłę. Lina jednak nie wytrzymała napięcia i pękła. Wajnrych runął z czteropiętrowej wysokości i poniósł śmierć na miejscu.

Barbarzyństwo. Donoszą do Bydgoszczy z Kościelna, że na tamtejszym cmentarzu nieznani sprawcy pozdzierali ze wszystkich krzyży bronzowe i srebrne odlewy, wyobrażające Chrystusa. Podobne wypadki powtórzyły się również przed kilku dniami na cmentarzach w Pakości i Inowrocławiu, gdzie pozrywano całe krzyże żelazne. Policja czyni energiczne poszukiwania za złoczyńcami.

Spowiedź z grobu. W pewnej małej miejcowości w północnych Węgrzech zaszedł przed paru dniami nieszczęśliwy wypadek. Przy naprawie studni zawaliła się jedna ze ścian, pociągając za sobą robotnika nazwiskiem Mitro, który przywalony masą ziemi stoczył się w wo-

dę na dno studni. Tam usiłował się ratować i począł głośno wołać o pomoc. Przybiegli natychmiast na miejsce mieszkańcy całej gminy, usiłując wydobyć nieszczęsnego robotnika. Niestety, nie byli w stanie przynieść mu żadnej pomocy, coraz bowiem większe masy ziemi staczały się w studnię. Tymczasem zapadła noc, w ciągu której pracowano nadal — bez skutku. Rano kontynuowano dalej akcję ratunkową, Mitro niestety coraz bardziej pogrążał się pod wodę, nie dając już całemi godzinami znaku życia. Na drugi dzień w południe posłyszano znów jego wołania. Nieszczęsny donosił, że woda zalewa mu już usta, wobec czego wkrótce zginie. Równocześnie prosił o przywołanie księdza, przed którym pragnął złożyć ostatnią spowiedź. Wnet też przywołano proboszcza. Cała gromada wśrod jęków i lamentów uklękła. Mitro zaś z czeluści swego grobu donośnie wyznał wszystkie swe grzechy. Ksiądz pochylony nad studnią udzielił mu ostatniego błogosławieństwa, poczem Mitro zamilkł na wieki. Zmarł w oczach całej ludności wiejskiej, która nie mając odpowiednich przyrządów, drabin i t. p., nie mogła go żywym z ponurego grobu wydobyć.

Kochanek dwóch sióstr. Z Budapesztu donoszą: W stolicy Węgier rozegrała się wstrząsająca tragedja miłosna. Mianowicie 28 letni pomocnik handlowy, Władysław Wessely, nadskakiwał pewnej młodej dziewczynie, nazwiskiem Róża Sallay i przyrzekł jej małżeństwo. Nawiązał on jednocześnie stosunek z jej siostrą Barbarą, która zażądała, ażeby siostrze o wszystkiem powiedział. Wessely uważał to informowanie Róży o istotnym stanie rzeczy za zupełnie zbyteczne, a przedewszystkiem niewygodne, i zaznaczył Barbarze wyraźnie, że jeżeli będzie na niego nalegała, wówczas ją porzuci. Młoda dziewczyna, doprowadzona do ostatecznego gniewu, wyjęła z torebki flaszkę z kwasem i wylała jej zawartość na twarz kochanka. Wessely ma zniszczoną połowę twarzy i stracił oko. Ponieważ scena ta rozegrała się na ulicy, więc momentalnie zebrał się tłum. Tymczasem sprawczyni zamachu wymknęła się, wskoczyła do tramwaju i pojechała do Nowego Pesztu, gdzie z mostu skoczyła w fale Dunaju. Samobójczynię zdołano jedak uratować. Tymczasem siostra jej dowiedziała się o tem, co się stało i również skoczyła z mostu do rzeki. I ją zdołano ocalić. Policja po przesłuchaniu wypuściła obie siostry na wolność. Niewiernego, a tak srodze ukaranego narzeczonego umieszczono w szpitalu.

Dowody zbrodni w popiołach. W Jenie zmarła niedawno pewna tamtejsza obywatelka, a ciało jej spalone zostało w miejscowem krematorjum. Ponieważ po śmierci jej zaraz zaczęły krążyć poważne słuchy, że nie był to zgon naturalny, lecz morderstwo, dokonane celem otrzymania premji asekuracyjnej, władze sądowe postanowiły otworzyć śledztwo. Dochodzenie było wysoce utrudnione, na skutek spalenia zwłok, zdecydowano się więc na oddanie popiołu do instytutu medycyny sądowej z poleceniem przeprowadzenia jak najdokładniejszej analizy chemicznej. Wynik analizy potwierdził słuszność istniejących w tej sprawie podejrzeń, znikome te szczątki bowiem zawierały, jak ustaliły niezbicie badania naukowe, znaczną ilość arszeniku, którym nieszczęsna kobieta została zgładzona ze świata.

Miljonowe kary pieniężne. W tych dniach zakończył się w Hamburgu wielki proces przeciw bandzie oszustów, która w ostatnich dwóch latach przemyciła ogromne ilości spirytusu bez opłacenia cła. Poza więzieniem ukarano winowajców karami pieniężnemi sięgającemi miljonów. Główny oskarżony Schwarz skazany został na 2 lata więzienia i 5 i pół miljonów marek kary

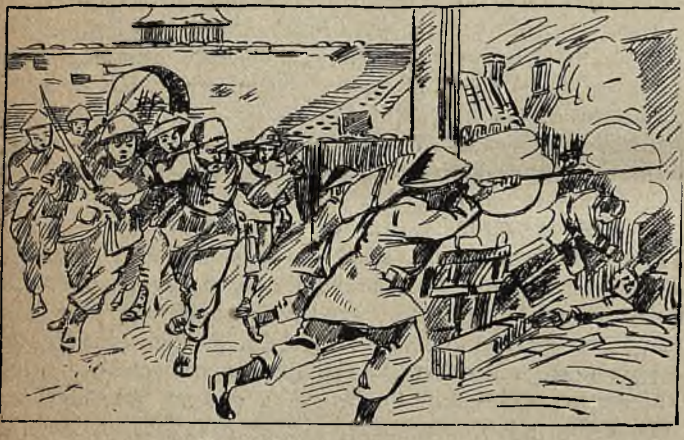
Straszne przeżycia w tunelu. Kupiec londyński Treadwey wracał w tych dniach koleą podziemną do domu. Naraz zasłabł i aby zaczerpnąć świeżego powietrza, uchylił drzwi wagonu. Wtem stracił przytomność i wypadł z wagonu do ciemnego tunelu. Gdy powrócił do sił, nie mógł w pierwszej chwili połapać się, gdzie się znajduje. Dopiero przejeżdżający pociąg przypomniał mu grozę położenia. Leżąc między torem a ścianą tunelu, nie śmiał się ruszyć, aby nie dostać się pod pociąg. Kupiec przeżywał straszne chwile, gdyż nie widział wyjścia z tej sytuacji. Co chwilę mijały pociągi, Tredwey nie śmiał nawet powstać na nogi. Dopiero w ostatniej chwili, gdy już z rozpaczy, aby zakończyć męki, chciał rzucić się na szyny, zauważył go kierownik nadjeżdżającego pociągu i zabrał do wagonu. Wskutek strasznych przeżyć kupiec w lecznicy dostał napadu szału.

Bombardowanie jabłkami. Podczas jednej z ostatnich nawałnic na morzu Śródziemnem osiadł w nocy na skałach w pobliżu wybrzeży Tunisu parowiec amerykański „Nile". Z nastaniem dnia ludność arabska wybrzeża, ujrzawszy parowiec osadzony na skałach, podpłynęła do niego setkami łodzi, zamierzając zagrabić ładunek. Wdzierających się jednak na głęboko zanurzony statek rabusiów spotkał zawód, nietylko bowiem zastali na nim ludzi, ale także powitani byli istnym gradem pocisków pod postacią jabłek i pomarańcz, stanowiących ładunek parowca. Obrona ta jabłkami i pomarańczami była tak skuteczna i wytrwała, że zdążył nadpłynąć parowiec australijski „Mareton Bay", który podchwycił sygnały „Nile" wzywające ratunku. Większość załogi osadzonego na skałach parowca przeniosła się na pokład „Mareton Bay", ale kapitan i część załogi nie chcieli go opuścić, aby ocalić choć część ładunku pod opieką kanonierki francuskiej, która również pospieszyła na ratunek i stanęła na straży przy parowcu.

Wstrząsający wypadek w cyrku. Wozy toczą się po nierównych, wyboistych ulicach małego miasteczka francuskiego Treville. Przodem ciągnie kawalkada pstro ubranych jeźdźców, grających hałaśliwie jakiś skoczny marsz. Cyrk przybył! Młodzież leci za przybyszami na łąkę, na której występować będą artyści. Szybko wznoszą się namioty. Na kilka godzin przed przedstawieniem wieczorem „teatr" jest gotów. Artyści czynią jeszcze ostatnie przygotowania. Atleta raz jeszcze próbuje ciężkich kul w swych potężnych pięściach, tancerka na linie odbywa ćwiczenia, pogromca zwierząt przekonuje się o usposobieniu swoich pupilów. Za namiotem cyrkowym stoi dwoje ludzi: młoda piękna blondynka i wysmukły gibki mężczyzna o wyrazistych, jakby wykutych z marmuru rysach twarzy. Ona nazywa się Armanda i jest mistrzynią jazdy konnej, on nosi dźwięczne imię Omara i jest jednym z głównych „numerów" cyrku. Jego produkcje wywołują ogólną sensację. Omar rozrywał łańcuchy żelazne i popisywał się rozmaitemi innemi sztukami, budzącemi podziw publiczności. Ale szczytem produkcji Omara są eksperymenty fakirskie. Szpilki i gwoździe pogrążały się w brunatnem ciele „fakira", potem spoczywało ono na desce pokrytej ostremi kolcami i t d. A pomimo tych cudów nie widać na ciele fakira ani śladu krwi. Największą atrakcją był numer pod tyt.: „Żywcem pogrzebany". Za specjalną opłatą wolno było przypatrywać się Omarowi, gdy kładzie się w trumnę, którą następnie umieszczano w dole głębokim i zasypywano. Żywy nieboszczyk trzymał zawsze podczas tego eksperymentu linę. Gdy sznur ten pociągnął, odkopywano znowu trumnę i wydobywano z niej fakira. Armanda i Omar byli zaręczeni. Kochali się nawzajem gorąco. Gdy Armanda stała na grzbiecie galopującego konia, jej narzeczony drętwiał z przerażenia.

A dziewczyna nie posiadała się z nerwowego niepokoju gdy Omar narażał swoje życie dla pieniędzy. Nieraz mówiła Armanda: Zaprzestań już raz tych sztuczek fakirskich, one cię jeszcze kiedyś drogo będą kosztowały. A wiesz dobrze, że jabym nie przeżyła takiego nieszczęścia. A Omar odpowiedział na to: Za te sztuki fakirskie otrzymuję znacznie wyższą gażę. Oszczędzam i wkrótce będziemy mogli założyć sami mały cyrk wędrowny. Inne numery przynosiły mu zbyt szczupły dochód. Dziewczyna musiała na tem poprzestać, choć serce było pełne jakichś niesamowitych, złowrogich przeczuć. Spełniły się one niebawem. Pewnego razu fakir znowu został żywcem pogrzebany. Czekano, jak zwykle, na pociągnięcie sznurem. Ale pół godziny minęło, a lina ani drgnęła. Zauważyła to natychmiast Armanda. Na wpół żywa z trwogi, kazała natychmiast grób odkopać. Po otwarciu trumny okazało się, że nieszczęśliwa ofiara swego zawodu nie żyje. Omar zginął wskutek udaru sercowego.

Bezpieczeństwo publiczne w Chinach. Z Pekinu donoszą o wypadku, rzucającym jaskrawe światło na panujące tam stosunki. Doszło przypadkiem do wiadomości chińskich władz policyjnych, że żołnierze rządowi wypożyczają swe karabiny i amunicję bandom zbójeckim. Umowę zawarto na warunkach takich, że oddziały wojskowe oddawały bandytom broń a nawet części umundurowania „do dowolnego użytku", otrzymując wzamian za to pewien procent łupu zrabowanego.



Obrazek nasz przedstawia napad takiej bandy; na pewne większe gospodarstwo chińskie.

Mrozy w Ameryce. We wschodniej części Stanów Zjednoczonych panują silne mrozy, połączone z ostremi wiatrami. Te zjawiska atmosferyczne wywołane zostały przez silną burzę, jaka przeszła nad Oceanem Atlantyckim.

Zjadacze trupów. Dziwnem się wyda, że w dwudziestym wieku istnieć jeszcze może lud, uważający, iż ciała zmarłych winny być zjadane i że tą drogą oddaje się zmarłym należną im cześć. W Ameryce Południ. koczuje szczep Indjan Kaszinauas de Felizardo, który wytworzył następujący „ceremonjał" zjadania zmarłych. Trupa gotuje się w ciągu kilku godzin w wielkim kotle, wokół którego zbierają się krewni i przyjaciele zmarlego i głośno opłakują swą stratę. Gdy ciało jest już dostatecznie ugotowane, otwiera się kocioł i każdy z obecnych otrzymuje część szczątków zmarłego do zjedzenia. Kości doręcza się później najbliższym krewnym, ci zaś suszą je, mielą i dosypują do mąki z kukurudzy, stanowiącej główną potrawę tego dzikiego szczepu. Nikt nie może odmówić spożycia szczątków zmarłych: tradycja zmusza do tego nawet tych Indjan, którzy zostali ochrzczeni. Każdy bowiem, ktoby uchylił się od wykonania praktyk religijnych, związanych ze zjadaniem trupów, zostałby zabity jako zdrajca swego ludu.

Kraj, gdzie całus jest zbrodnią. Szczególną troskę o moralność publiczną wykazują władze Pensylwanji, pięknego i bogatego stanu Północnej Ameryki. Przeprowadziły one mianowicie prawo, mocą którego zakazanem jest najsurowiej w granicach Pensylwanji publiczne całowanie się. Osoby dające się porwać fali uczucia w miejscu publicznem są narażone tem samem na wysokie grzywny i ciężkie więzienie, które oczywiście muszą odsiadywać w osobnych celach. Równocześnie zakazanem jest wyświetlanie scen filmowych, przedstawiających całusy zakochanych, co oczywiście pozbawia dany film 70 procent jego wartości. Sceny takie muszą być skrupulatnie wycinane z filmu. Wolno wprawdzie w tem miejscu zamieścić napis: „Tu następuje całus" — czemże jednak są te martwe wyrazy wobec prawdziwego, długotrwałego, ognistego i namiętnego całusa, którego „zagranie" jest ważnym przedmiotem długich studjów gwiazd z Hollywood. Stąd też zrozumiałem się stanie, iż w światowej stolicy filmu najokropniejszem przekleństwem w świecie artystów filmowych jest okrzyk pełen pasji: „Bodajbyś pojechał do Pensylwanji!" co jest jednoznacznem z powiedzeniem: „Niechaj cię piekło pochłonie!"

RZECZY CIEKAWE.

Od św. Łucji do Bożego Narodzenia.

Pewne przesądy religijne związane są z okresem przygotowawczym do świąt Bożego Narodzenia. Okres ten zaczyna się od dnia św. Łucji (13 grudnia). Między przesądami wigilijnemi najwięcej może jest takich, które są wróżbami przyszłych losów serca. Te, które należą do owego okresu przygotowawczego przedświątecznego, są następujące: Dziewięć dni przed wigilją należy przygotować dziewięć kartek i wypisać na nich nazwiska dziewięciu mężczyzn sympatycznych, względnie kobiet, jeżeli to robi mężczyzna. Następnie należy w każdy dzień spalić jedną losem wybraną kartkę, a czyje nazwisko zostanie na wigilję, ten będzie mężem względnie żoną danej osoby. Dziewczęta badają też tę tajemnicę przyszłości w ten sposób, że tydzień przed wigilją piszą na siedmiu kartkach imiona znanych młodzieńców i wkładają je pod poduszkę. W wigilję po wieczerzy palą jedną kartkę po drugiej, zostawiając tylko ostatnią, a młodzieniec na niej napisany jest przeznaczony na męża danej dziewczyny. Według innej odmiany dziewczyna pisze, poczynając od św. Łucji, w każdy dzień na karteczce jakiś zawód, np. rolnik, robotnik, szewc, miljoner itp. W wigilję, gdy gospodyni smaży ryby, dziewczyna zwija kartki w rureczki i podrzuca je trzy razy w górę, aby się pomieszały. Następnie jedną po drugiej wrzuca do ognia pod blachę, a ostatnią zachowuje. Wypisany tamże zawód będzie zawodem jej przyszłego męża.

Stwardniałe wino i wódka.

Mamy już skroplone powietrze, dlaczegobyśmy nie mieli mieć zamienionych w ciała stałe płynów? Cudowny rozwój chemji dopuszcza wszelkie niespodzianki. Oto jednemu z niemieckich chemików udało się sporządzić alkohol w stanie stałym. Po wielu żmudnych próbach powiodło mu się wynaleść mieszaninę, która, dodana do absolutnie czystego alkoholu, przemienia tenże w ciało stałe. Z tego „stwardniałego" alkoholu można wykrawać różne formy, sześcianu, kuli i t. d. Rozumie się samo przez się, że mieszanina, wywołująca tę przemianę, nie zmie-

nia składu alkoholu i nie przeobraża jego smaku. Wynalazek ten otwiera dla wszystkich amatorów gorzałki czy też szlachetniejszych trunków nowe perspektywy... Odkąd będzie można bez pomocy flaszki w kieszeni nosić kieliszek likieru czy nawet kufelek piwa. „Kostka alkoholowa" bowiem daje się łatwo „skroplić". Wystarczy bowiem ogrzać ją do 40 stopni ciepła i zmieszać z odpowiednią ilością wody.

Sztuka wiązania.

Japończycy nie ubierają się po europejsku, nie znają, nawet w przybliżeniu, sztuki zapinania guzików, klamer lub agrafek. Przedmioty te zastępują oni taśmami i wstążkami. Stąd powstała wśród nich sztuka, wielce dla nas skomplikowana: sztuka wiązania. Któżby domyślił się, że znają oni aż 250 sposobów wiązania? Pod tym względem mają pierwszeństwo na świecie, gdyż nawet tak znakomici eksperci, jak marynarze francuscy wynaleźli tylko 60 rodzajów węzłów. Podobnie zresztą jak marynarze nadają oni wiązankom rozmaite nazwy, jak węzeł żółwiowy, bociani, motyli, mówi się także: zawiązać kokardę w irysa, w kwiat czereśni lub śliwy, istnieje też węzeł młodości i węzeł starej kobiety. Sztuki wiązania uczą się Japończycy w szkole, a nawet najmniej inteligentne dziecko zna 20 do 30 sposobów wiązania.

Ruiny przedhistorycznego miasta.

W zamierzchłych czasach setki ludów wędrowały przez terytorjum obecnej Rosji południowej, z Azji Środkowej do Europy. To też na Ukrainie, nad Donem i północnej części Kaukazu, na wybrzeżach mórz Czarnego i Azowskiego natrafić można na zabytki z czasów przedhistorycznych, stwierdzające istnienie wysoko rozwiniętej kultury w okresie wędrówki narodów. Uczeni rosyjscy, zajmujący się odszukiwaniem zabytków starożytnej cywilizacji, natrafili ostatnio w okolicach kozackich „stanic" Zimlianskiej, Gniłowskiej i Jelizawietowskiej nad Donem na ruiny przedhistorycznego miasta Tanais (tak w dawnych czasach nazywała się też rzeka Don), które powstało przypuszczalnie przed trzema tysiącami lat i odgrywało ogromną rolę w kulturalnem życiu ówczesnej Europy Wschodniej. Według opinji uczonych historyków, miasto Tanais miało być założone przez wychodźców z greckiego miasta Miletu, które kolonizowało szereg miejscowości nad Czarnem i Azowskiem morzem. Jak wiadomo, mieszkańcy Miletu byli odważnymi żeglarzami i utrzymywali stałe linje okrętowe, łączące metropolję z najbardziej nawet oddalonemi kolonjami.

Olej z węgla.

Od lat już kilkunastu łamali sobie głowę inżynierowie różnych narodowości nad tem, jakby z węgla wydobywać olej w sposób, któryby się opłacał. Trzeba bowiem wiedzieć, że zapasy węgla starczą jeszcze na długie lata, a tymczasem zapasy oleju już są na wyczerpaniu. Wynaleziono też rozmaite sposoby przetwarzania węgla na olej, atoli były to sposoby za trudne i za drogie. Dopiero w roku 1913 wynalazł chemik Bergius nowy sposób, mocą którego z węgli za złotych 15 wydobyć można oleju w cenie 55 złotych. Oczywiście nie jest to olej jednolity, tylko benzyna, olej gazowy, olej do smarowania i do opalania. Trzeba bowiem wiedzieć, że węgiel wystawiony przez kilka godzin na wpływ gorąca do 350 stopni, zamienia się w gęstą ciecz, a przy 450 stopniach staje się lekko płynnym. Z 20 centnarów węgla wydostaje się 500 do 600 litrów oleju, między tem 150 kilogramów benzyny. Najlepiej nadają się do tego węgle brunatne, a nie czarne, co oczywiście jest tem korzystniejszem, ponieważ brunatne węgle daleko mniej nadają się do palenia. Sposób wydostawania oleju z węgla jest narazie tajemnicą wynalazcy, ale z pewnością wnet będzie własnością całego świata.

Psia wełna.

Chciwość ludzka nie zna granic. Po owcach, które człowiek od tylu wieków obdziera z sierści, przyszła kolej na psy. Doświadczenia poczynione w ostatnich czasach we Francji wykazały, że średniej wielkości pies jest w stanie dostarczyć rocznie 3—4 funtów wełny, conajmniej tak dobrej jak owcza, ciepłej, miękkiej i doskonałej do przeróbki.

Poczta podrożała: Pocztówka 15 gr., list 25 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Stefan Michałowski** w M.: Rady nasze lekarskie są skuteczne, jeżeli choroba nie jest przedawniona. Dolegliwości Pańskie, jak się zdaje, trwają już od dłuższego czasu, wobec tego jest tu konieczne zbadanie przez lekarza, co jest właściwie przyczyną niedomagań. Może to być katar żołądka, czy kiszek, ale może też być i inna choroba. W każdym razie nie zaszkodzi spróbować następującego leczenia: naczczo wypić szklankę ciepłej wody, do której trzeba dodać łyżeczkę soli karlsbadzkiej. Po wypiciu wody chodzić przez pół godziny, a potem dopiero spożyć śniadanie. W czasie kuracji nie należy spożywać ciężkostrawnych pokarmów. Ale jeszcze raz radzimy, iż najlepiej poradzić się lekarza specjalisty, który dokładnie określi rodzaj choroby, a wtedy wyleczenie jej nie będzie trudne. — **Kazimierz Żelazowski** w M.: Zagadki bardzo dobre, chętnie je umieścimy. — **Andrzej Węgliński** w B.: Zagadki otrzymaliśmy, pójdą w miarę miejsca. — **Ludwik St. Unsing** w B.: W takim nawale pracy nietrudno przeoczyć życzenia nawet najserdeczniejszego Przyjaciela. Przeoczenie naprawimy. Cześć! — **H. B. G.** w S.: Nie sztuka powiedzieć: „Podwyżcie prenumeratę!", bo to przecież tak łatwo uczynić, ale pytanie, czyby kieszeń niejednego z Czytelników wytrzymała. My wolelibyśmy ją nawet odbniżyć, gdyby się tylko liczba Czytelników powiększyła. Ale to już nie w naszej mocy, lecz zdziałać to mogą nasi Przyjaciele, rozszerzając jak najusilniej „Rolę". Mimo niepodwyższania ceny będziemy się starali ulepszenie w myśl życzenia Pana w ciągu roku wprowadzić. Wierszyki jeszcze nie do druku, gdyż są w nich dość duże usterki. Np. nie można mówić: „Głos Zygmunta dzwona", gdyż zawsze się mówi: „dzwonu" itp. „Emigrant" również nie do druku. Zbyt błahe zdarzenie. — **Michał Kania** w T.: Jako lekarstwo na złą żonę dajemy taką receptę: Dwa deka wyrozumiałości, trzy deka cierpliwości zmieszać z łyżką zaparcia się siebie i zażyć trzy razy dnia, a skutek będzie niezawodny. — **Janina Sielska** w S.: Choć grom bije z nieba i pod psem pogoda, smucić się nie trzeba, bo szkoda łez, szkoda! Grom prędko przeleci, niebo się rozchmurzy i słonko zaświeci po największej burzy! Wśród słońca promieni pierzchnie smutek wszelki i w radość się zmieni, chociaż taki wielki! — **Stefan Zawora** w N.: Nie przeczymy, że niema większego nieszczęścia, jak kobieta, ale i to przyznać Pan musi, że nikt tyle szczęścia nie daje, co kobieta. Tak! Kobieta jest tem złem, które nas do zguby prowadzi, które odbiera nam spokój życia i często stawia nad brzegiem przepaści, ale kobieta jest zarazem tą cudowną krynicą, która wznosi naszą duszę ku pięknu, która zapala w nas pragnienia wielkich czynów, która dla nas na szarej ziemi rozkoszny raj stwarza. Zaiste niemasz piekła bez kobiety, ale nie byłoby i nieba, gdyby zabrakło kobiet na świecie! — **Jan Kawa** w D.: List Pański od tak rozkosznego tematu, jakim jest kobieta, sprowadził nas na ten padoł płaczu, a właściwie do rzeczy, o której my wprost z panicznym strachem myślimy, a mianowicie do naszych poczt. Żali się Pan na nieregularne doręczanie „Roli" przez tamtejszą pocztę, ponieważ najpierw musi ją przeczytać pan poczmistrz, potem pani poczmistrzowa i ich kilkanaście córeczek. Jakkolwiek cieszy nas bardzo taka poczytność „Roli", to przecież karmienie swojego ducha za cudze pieniądze bez jego zezwolenia musimy uważać za zwykłą kradzież. To jest to samo, jakby sobie Pan kupił bochenek chleba, a pan

pocztmistrz chleb ten wraz z swoją zbyt obszerną rodziną bez Pańskiej zgody spożył. — **Karol Sadulski** w W.: Ciekawości Pańskiej narazie zadowolić nie możemy. To jedno tylko dziś dajemy zapewnienie, że mamy przygotowane na przyszły rok do „Roli" tak ciekawe rzeczy, że muszą one zadowolić nawet najwybredniejszego Czytelnika. — **Józef Maśka** w Z.: Numera pod wskazanymi adresami wysłaliśmy. Dziękujemy, a prosimy jeszcze tam kogoś zaprosić do prenumeraty „Roli". Cześć! — **Eug. Kędzior** w K. H.: Numer okazowy z czekiem pod wskazanym adresem wysłaliśmy. Dziękujemy. — **Roman Gliński** w St. S.: Potrzebujemy chłopca do roznoszenia gazet — możeby tak Teofil? jest bezrobotny. Cześć! — **M. Wawrzykówna** w P.: Tak więc oczekujemy. Jesteśmy ciekawi na tę jak Pani pisze, pośrednio nie ładną, nie brzydką, a najwięcej ciekaw wydawca. — **Józef Kopacz** w S.: Prenumerata do Rumunji 20 zł. Numer wysłaliśmy. Dziękujemy. — **Stanisława Wojdyłówna** z R. W.: O ile na czeku ktoś nie pisze na co posyła pieniądze, to mu posyłamy „Rolę". I na czeku Pani nic nie było napisane, a druga rzecz, że Pani nie przysłała 3 zł. 20, tylko 2 zł. 20, więc na trzy książki (sennik, kabała i flirt) nie starczy. — **Maryla „Widz"** w O.: Ach gdyby wszyscy ludzie tak serdecznie odczuwali nędzę ludzką, jak Pani ją odczuwa, byłoby mniej nieszczęśliwych na świecie. Niestety, ten, kto dużo posiada, najczęściej z nikim dzielić się nie chce, ci zaś, którzy mało mają, chętniej wspierają potrzebujących, ale pomoc ich jest kroplą w oceanie biedy. Nadesłany utwór zamieścimy, ale aż po Nowym Roku. — **Won-ka:** Dobre — zamieścimy. — **G. Legin** Niestety nie stać nas na płacenie honorarjum. Ale i tak jest dość ludzi dobrej woli, którzy chcą pracować dla społeczeństwa bezinteresownie. To też utworów nam nie brak. — **A. Wagnerówna** w Sz.: Pewnie wychodzą z tego założenia, że Pani już słodziutka, miodu nie potrzebuje; zresztą trochę anielskiej cierpliwości. Napisaliśmy do nich. Za pozdrowienia dzięki i wzajemnie pozdrawiamy. — **W. Przybyłowicz** w St. S.: Od p. Mrozowej otrzymaliśmy. Cześć! — **Wł. Chromy** w B.: Kalendarze są tylko te po 2 zł. 95 gr., których wkrótce zabraknie. Innych nie mamy. — **Jan Prząda** w Ł.: Podanie było źle napisane, gdyż najpierw podał Pan, jako powód, dokupno gruntu, a później spłatę długu. Przyrzeczono nam, iż sprawa będzie pomyślnie załatwiona i pieniądze wkrótce Pan otrzyma. — **Kachna Ł Łza** i **D. Lesiowski** w W.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. Nowelek jeszcze będę szukał. Cześć! — **„Orlica":** Za przesyłkę całuję rączki. Rękopisy Pani bardzo lubię czytać, gdyż nie trzeba w nich ani przycinka zmienić. Aby się poznać osobiście, to taka łatwa rzecz. Codziennie kursuje do Krakowa kilka pociągów. — **Koło młodzieży** w R.: Zamieścimy w następnym numerze, gdyż do obecnego spóźnione. — **Luśka Filipowska** w B.: Zamieścimy w miarę miejsca. — **Krzysia** - Wierzbowiec: Ależ mąż by się nie gniewał za całusy dla Maćka! Przecież on (t. j. Maciuś a nie mąż) taki niewinny, jak nowonarodzone dziecko. Zresztą, gdy dostanie urlop, pojedzie na Wołyń, to tam się spotkacie i co trzeba będzie, załatwicie. My od siebie łączymy pozdrowienia.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Jan Patulski z Oleska 2 zł. dla Maćka, Ludwik Skuza z Żegiestowa na gwiazdkę dla Maćka 2 zł., Jan Machner z Poluchowa na krawatkę dla Maćka 1 zł., Helena Majewska z Karnaczówki dla Maciusia 3 zł.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8 86—8 90	Korony czeskie	26·35—26·48
Funty szterl. . . .	43 53—43·64	Franki szwajc.	172 20—172 77
Franki francuskie	35 04—35 12	Liry włoskie .	48·33—48 57

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Andrzej Węgliński z B.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj obfitujący w złoto.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Nakrycie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mieszkaniec Europy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Stolica.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część narodu polskiego
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto podolskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Noszą kobiety.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej drugiemu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ucieczka Ś. Rodziny do
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Sanu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie,
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część fajki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Obsługa okrętu.

Litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko poety.

2. Szarady.

(Ułożył G. Wirstnik z Sz.).

I.

Trzecie drugie spotkasz ludzi
czarnych na Saharze,
Pierwszy zaś wspak z jedną kreską
ma niektóre zwierzę,
Miewa czasem i stróż nocny,
myśliwy, ulica,
Nawet dom i mąż zacny,
gdy go połowica.
Która jak niniejsza całość
mityczna kobieta,
Czasem i o dwa przyprawi
kiedy ją opęta.
Jakiś drugi, drugi
fircyk-wiercipięta.

II.

Gdzieniegdzie rośnie w ogrodzie
pierwsza trzecia, czwartą,
Która choć owoce rodzi
niezbyt wiele warta.
Także druga pierwsza
ma miejsce w ogrodzie
przy roślinach strączkowych
często się znachodzi.
Całość był to człowiek
żył za rzymskich czasów
wichrzycielem był i wodzem
różnych parjasów.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

I.

Wprost uciecha ogrodnika
Wspak nazwisko czytelnika.

II.

Wprost to postać z Biblji znana
Wspak przez zwierza zamieszkiwana.

4. Przestawianki.

(Ułożył „Yoga" z K.).

I.

Bo, pszą, bo, pie, drość, u, ctwo, niż, ga, mą, ga, le, głu, jest.

II.

Cie, że, ciel, co, we, dzie, w, dzie, w, go, to, i, się, ja, ry, ja, ro, jest, przy, ka, przy, krwi, przy, kto, po, lecz, nie, lem.

III.

Cze, że, dzę, zum, go, wisz, i, wisz, je, wierz, mó, więc, mó, wie, nie, wi, nie, w, nic, w, ro, to, rze, tak, rzę, śli, swój, szcze.

IV.

Bie, zgo, cie, wie, dzie, wart, i u, ja, ta, jem, so, kto, sić, la, rza, la, przy, ła, po, mie, nych, nia, no, nic, nie.

V.

Bie, ży, bo, zgo, da, w, do, to, dzi, ro, dzie, nie, dzie, na, gdy, jej, je.

Z powyższych zgłosek ułożyć zdania I. Krasickiego, II Kochanowskiego, III. Mickiewicza, IV. Naruszewicza, V. Kochanowskiego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 49: 1. Logogryfy: Cud Wisły-Skorupka. Haller Józef-Foch. 2. Szarady: Bassara. Kantyczki. Karmelita. 3. Układanki: Korale-tapety. Żardyniera-Maraton. 4. Zagadki: Zaraz. Etna-ante. Ela-ale.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Bylica z K., Kazimierz Żelazowski z M., Piotr Wenc z S., Michał Sowa z L.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimierz Żelazowski z M. i Michał Sowa z L.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Do nabycia w Administracji „Roli“. — Cena wraz z przesyłką pocztową **2 zł. 95 gr.**

Pieniądze na kalendarz nadsyłane przekazami pocztowemi prosimy nadsyłać na konto pocztowe „Roli“: 406.301 z dopiskiem „Na kalendarz“.

Godny zaufania.

— Umie pan kierować samochodem?

— Nie mam o tem pojęcia.

—To niech pan uważa przez chwilę na mój samochód.



Siła wodna.

— Jaka jest najsilniejsza siła wodna na świecie? — pyta nauczyciel.

— Łzy kobiece — odpowiada jakiś malec-filozof.



Rekordy.

Mąż mój ustalił nowy rekord w skoku wzwyż“.

„Mój niestety robi tylko skoki w... bok“.

Złośliwa.

— Pan Włodzimierz powiedział mi, że jestem najpiękniejszą i najmędrszą kobietą jaką spotkał w swem życiu!

— I ty chciałabyś wyjść za tego człowieka, który kłamie już przed ślubem?



Dziwna krowa.

Do małej mieściny przybywa poraz pierwszy cyrk.

Na budzie jarmarcznej jest napis: „Różne osobliwości do zobaczenia, jest i krowa, która zamiast głowy — ma ogoń, a w miejsce ogona — głowę.

Kuba pierwszy wchodzi, przygląda się wszystkiemu, nareszcie widzi krowę, przywiązaną ogonem do koryta.

Gdy wyszedł, pyta go Antek:

— Cóż, widziałeś wszystko?

— Ano, widziałem.

— A krowę też widziałeś?

— A ino — krowa, jak krowa, ino mię to dziwi, jak ona może jeść ogonem!

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I., II. i III-go kwartału po 2 zł. 60 gr. Prenumerata kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 grudnia b. r.

Pszenica .	59·00—51·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	00·00—00 00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—30·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	28·50—29·00
Fasola biała	43·00—45·00	Mąka żytnia	61·50—62·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	82·00—82·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę“ w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli“, mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.